Nr. 15. Lwów, Niedziela dnia 10. Grudnia 1876 r. **Tom IV.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XV.

SĄDY POLUBOWNE.

Niejednemu z czytelników mogło by się zdawać, że rozmijamy się z zadaniem pisma literackiego, omawiając w niem kwestję sądów polubownych, która należy do fachowych pism prawniczych. Ażeby się zasłonić przed takim zarzutem, oświadczamy z góry, że zamierzamy jeno ze stanowiska społecznego ocenić doniosłość i wartość tak zwanych sądów polubownych, stronę ich teoretyczną zostawiając do rozbioru bardziej od nas do takiej krytyki powołanym prawnikom z zawodu.

Ktokolwiek bodaj raz w życiu popadł w spór tak zwany cywilny, wypływający bądź to ze stosunku właściciela do czynszownika, dzierżawcy i t. p., bądź skutkiem niedotrzymania którego z punktów kontraktu przez drugiego kontrahenta; kto zatem był zmuszony, w tym lub owym wypadku, dla ratowania swoich praw udać się po pomoc do władz sądowych, ten zapytany, co najbardziej dokuczyło mu podczas tego sporu, pewnie odpowie, że owo nieznośne przewlekanie się sprawy w nieskończoność, pociągające za sobą w wielu razach utratę mienia a często i zdrowia. Tuż zatem idą skargi, przyznajemy że często niesłuszne, na urzędników sądowych, nie dość pospiesznie rozstrzygających poruczone im sprawy, na wadliwości kodeksu cywilnego, na ustawodawcę, który istnie wysilać się zdawał w tej mierze, by miasto jak największego uproszczenia procedury, najeżyć ją tysiącznemi zakrętami i zboczeniami, któremi każda sprawa nieodzownie krok za krokiem postępować musi, zanim w końcu stanie u celu, wyczerpawszy do dna wszystką cierpliwość stron spór z sobą wiodących. Nie myśląc bynajmniej pisać tu nowelli do ustaw postępowania cywilnego, stwierdzamy tylko sam fakt pożałowania godny, że procedura nasza chroma w wielu względach, i mimo ulepszeń w ostatnich czasach znacznie w tyle pozostała za siostrzycami swojemi w innych krajach cywilizowanego świata. Dowodem tego przykłady w codziennem życiu: podczas gdy jaka sprawa tocząca się w tutejszych sądach wymaga n. p. czasu sześciu miesięcy, to wcale analogiczny spór podług procedury francuskiej, angielskiej lub niemieckiej, potrwałby pewnie co najwięcej trzy lub cztery tygodnie. Porównania tego nie stawiamy bynajmniej na chybił trafił, ale powtarzamy słowa rzeczoznawców i ludzi, mogących w tej mierze decydować, dzięki własnemu doświadczeniu. Wspomnieliśmy wyżej, że takie przewlekanie sporu pociąga za sobą dla stron spornych często wielkie straty materjalne, w parze idącą utratę zdrowia, swobody umysłu i t. p. niekorzyści; — a nie wspomnieliśmy jeszcze o tem, że wyradza także zwolna straszny nałóg, rujnujący fizycznie i moralnie tego, który mu się poddał, — wyradza zgubne pieniactwo. Podobnie jak pijak ostatni grosz odda za kroplę trunku, gracz ostatni grajcar zaryzykuje na kartę, tak pieniacz wyda ostatni szeląg na stęple i adwokata, byle zadosyć uczynić namiętności, której ideałem proces, a celem ostatecznym zniszczenie, co najmniej zaś silne nadszarpnięce mienia przeciwnika. Gdzie więc sposób, by stopniowo zapobiegać wyradzaniu się takich namiętności wśród społeczeństwa? W nadaniu odpowiednich ustaw — odpowie nam wielu. Rzecz pewna, że dobre ustawy odnośne są bardzo pożądane — atoli przyzna nam każdy, że i najlepsze ustawy na nic się nie przydają, gdy społeczeństwo samo nie przykłada ręki, by zwolna tamować mętne źródło. Jak na pieniactwo, to jedynem lekarstwem przeciw niemu byłby środek, z góry absolutnie je uniemożliwiający. Otóż taką niezawodną prezerwatywą w tym wypadku są s ą d y p o l u b o w n e. Kto zawierając jakiś kontrakt czy umowę, myśli uczciwie dotrzymać przyjętych zobowiązań, ten pewnie chętnie zgodzi się naprzód, by na wypadek jakiego sporu z kontrahentem, dwaj czy trzej współobywatele roztrząsali słuszność lub niesłuszność żądań strony, spór wywołującej. Kto zaś z góry już powstaje przeciw propozycji sądu polubownego, ten pewnie umieścił w kontrakcie niepostrzeżenie jakąś furtkę, którą za lada sposobnością wymknąć się zdoła, by powlec kontrahenta w mury sądowe, i tam z nim rozpocząć tany ulubione! Z takim stokroć lepiej najprostszej nawet nie zawierać umowy, bo to pieniacz, procesowicz z zamiłowania, lub człowiek nieuczciwy, czyhający na sposobność, by zręcznie oszukać łatwowiernego. Nie można zatem inaczej, jak tylko najgoręciej zalecić wszystkim interesowanym, by w każdej umowie pisemnej, nieodzowną kładli klauzulę, przeznaczającą możliwy spór p o d s ą d p o l u b o w n y, orzekający stanowczo, bez dalszego odwołania się do władz sądowych. Na zakończenie tych pobieżnych uwag naszych winniśmy jeszcze zwrócić baczność interesowanych na tę ważną okoliczność, że wyżwspomnianą klauzulę należy sformułować jasno i dokładnie, przeszkadzając już z góry takim zabiegom, któreby potem mogły uniemożliwić zebranie się sądu polubownego, tem samem unicestwić oczekiwane jego skutki słuszne, a ostatecznie pociągnąć obie strony na niepewną i kosztowną drogę procesu cywilnego.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Tak nareszcie wyjechali i w milczeniu przebywszy niedźwiedzią bramę, drożynę w dolinie, znaleźli się znowu w lesie szumiącym, jakby to co niedawno widzieli snem było. Barciński był zadumany, Marcinowa wzdychała, Justysia tylko żwawo szczebiotała rozweselona, na oczach panny Agnieszki łzy się kręciły, które ukradkiem ocierać musiała... i myślała w duchu:

— Spełzła ostatnia mojego szczęścia nadzieja, ostatnie miłości marzenie... takiem go kochała... rozstać się z nim muszę... O nie, nie

wejdę w tę rodzinę nowego strapienia i boleści, nie chcę mojego dobra okupywać ofiarą drugich... nie, ja nie mogę pójść za niego. I żal chwytał ją za serce, gdy pomyślała, że rozstać się z nim na zawsze będzie potrzeba, nie widzieć go nigdy, oddzielić się, nie słyszeć o nim, wyrzec się jedynego na świecie przyjaciela.. Ale duma niewiasty walczyła z miłością kobiecą, wolała się poświęcić, niż jego poświęcać dla siebie. Straszliwe owe sceny o których czytała, przychodziły jej na pamięć, — czyliż się teraz na inny sposób odnowić nie mogły?

Łzy połykała strapiona, ale niemi coraz umacniała się w przekonaniu, że odmówić mu było jej obowiązkiem. Barciński, nie chcąc trapić żony i opowiadać przy córce tych krwawych dziejów, milczał posępny. Napróżno ożywiona tą podróżą Justysia ciągle wyglądając zwiastowała im nowe widoki, p. Marcin ani spojrzał, aż się nareszcie kolasa wtoczyła w bramę wspaniałą pałacu przy Krakowskiem-przedmieściu.

Na owe czasy był ten gmach okazały i piękny, kratą i podwórcem oddzielony od ulicy, architektury prostej i zarazem poważnej, bez zbytnich ozdób, których gdzieindziej w owym wieku nie szczędzono.

Służba liczna w barwie sinej z żółtem, natychmiast wysypała się na ganek, a marszałek przodkujący jej, z wielkim respektem wprowadził państwa Barcińskich do przeznaczonego im apartamentu, tem milszego dla nich, że im wieś nieco przypominał.

Był bowiem położony od ogrodu; ów ogród w piękne stare drzewa obfity, z ciemnemi alejami i zieloną łąką ciągnął się ztąd aż do brzegów Wisły, którą po za domkami rybaków widać było wspaniale szerokiem płynącą korytem.

Widok z okien, przez drzew zwieszone gałęzie, na wodę i lasy był bardzo piękny.

Pokoje wspaniale przybrane zdawały się oddawna oczekiwać na obiecanych gości, tak wygodnie dla nich urządzone były i zaopatrzone we wszystko, co im miłem być mogło.

Zdziwiła się nieco i zafrasowała razem panna Agnieszka, gdy marszałek dworu, mąż już podżyły i znać zaufany kasztelana, ukazał dla niej nie pokoik skromny jakiego się spodziewała, ale cały apartament osobny, zbytkownie urządzony i ze wszystkich może najwykwintniejszy.

Odmówiła mu więc wręcz, prosząc o skromniejsze pomieszczenie, ale marszałek z uszanowaniem oświadczył, iż w niczem woli kasztelana zmienić nie może i prosi, aby do przybycia jego i rozmowy z nim, przeznaczone sobie pokoje objąć była łaskawa.

Justysia, ciekawe ptaszę, pierwsza zaczęła biegać po wszystkich kątach, zaglądać wszędzie, pytać naiwnie o wszystko, nie mogąc się wydziwić i nacieszyć pięknością pałacu. Odkryła ona swą przenikliwością dziewczęcą w pokojach cioci Agnusi mnóstwo jakby naumyślnie poznoszonych tam sprzętów, które rozmaitym jej gustom i przywyknieniom odpowiadały. W jednym stała ogromna mosiężna z kanarkami klatka, w drugim kwiaty niemal takie, jakie na oknie w Barcinie, tylko jakoś bardziej pańsko wyglądające, dalej krosna przy oknie ze wszystkiemi przyborami do roboty, a przy łóżku klęcznik wspaniały z oprawną w jaszczur książką do nabożeństwa. Na stole w sypialni misterne czarne szkatuły hebanowe, kością słoniową i bursztynem sadzone, nęciły okrutnie, bo też przy nich i klucze leżały, ale panna Agnieszka tknąć ich Justysi nie dozwoliła, która się napróżno skradała.

Pan Marcin pomrukiwał; po dworku w Barcinie pałac mu był za przestronny, za piękny czegoś, za pusty, radby był wynijść aby się gdzieś pod strzechą swobodniej roztasować.

Zaledwie się rozpatrzyli nieco w tych cudach, gdy marszałek dworu oznajmił im odwidziny siostrzeńca pana kasztelana, który w imieniu wuja pragnął gości powitać.

Justysia się mocno zarumieniła i spojrzała instynktowo ku zwierciadłu, ale w tejże chwili wpadł na próg znany nam już z noclegu w Wygodzie młody ów chłopak z rozpromienioną twarzą.

Był teraz taki strojny a tak inaczej piękny, że go tylko jedna Justysia poznała. Proste dziewczę powitało go też bez ceremonij, po wiejsku, prawie po dziecinnemu z nieudaną i nieukrywaną radością, jak starego znajomego. Powitawszy rodziców i pannę Agnieszkę, gość się też do niej obrócił równie wesół i rad z bukietem, ktory trzymał w ręku.

— Oto pierwsze kwiatki warszawskie witają panią, ze strachem żeby się przy nowym kwiecie nie wstydziły... Mówiłaś pani, że lubisz kwiaty, pilno im było pokazać i pochwalić że brzydsze nie są od swej wiejskiej braci. — Ale czy będzie tu państwo dobrze? zapytał obracając się do Barcińskiego, który stał milczący pokręcając wąsa.

— Otóż nie, nie... szanowny mój wicegospodarzu, odpowiedział stolnik, nie... nie będzie nam tu wcale dobrze... A wiesz dla czego? ot dla tego, żeśmy my do strzechy słomianej, do skromnego szlacheckiego dworku przywykli, że nas te wspaniałości zawstydzają i straszą. Myśmy żyli całe lata długie w naszej chacie ubogiej, obyczajem przywykliśmy do niej, jest to nasza rodzinna skorupka, do której przyrośliśmy wszystkiemi boki...

Młody człowiek zczerwienił się mocno, postrzegł się stolnik, że mu przykrość uczynił i począł go ściskać.

— Daruj pan weredykowi wiejskiemu— zawołał, takim Bóg gbura stworzył. Ale kiedy losy chciały, abyśmy kilka dni życia przebyli pod pańskiemi stropami, wyda się to nam jak sen z jakiejś bajki, który przypomnieć będzie miło.

— Spocznijcież państwo — rzekł cofając się młody człowiek — pozwólcież w imieniu wuja powtórzyć prośbę, żebyście się uważali jak u siebie.

To rzekłszy w koło pożegnał wszystkich, i jeszcze się obróciwszy do Justysi, która patrząc w bukiet pełen róż, uśmiechnięta wdzięcznie sama jak róża spłonęła, rzekł wesoło:

— Pozwolisz mi pani być swym ogrodnikiem... póki gościsz w Warszawie?

Nie było czasu na odpowiedź, bo Barcińska gdyby zaraz nie wyszedł, możeby go była po macierzyńsku uściskała, stary tylko pot z czoła obcierał, ale mu było markotno widocznie. Chciał zaraz usiąść, i postrzegłszy aksamitem obitą kanapę, nie prędzej tego pozwolił sobie, aż na niej chustkę rozpostarł.

— Wszystko to nie dobrze, mruknął, ja tego nie lubię, młodzik mi coś bardzo do Justysi podjeżdża, a ta jak gapiątko cała ku niemu... nic potem! nic potem!

Justysia wybiegła z Agnieszką do drugiego pokoju szukać szklanki, w ktoraby swój śliczny bukiet zanurzyć mogła, swobodniej więc mógł gderać stary, bo sam z żoną pozostał.

— Słuchajno asińdźka... sama powiedz wcześnie Justysi, niech nie będzie głupią... To dziecko, nie wie co miejscy panicze, gotowa się zadurzyć, a to na wierzbie gruszki, z tego nigdy nic nie będzie.

— A to czemu, jeśliby się sobie spodobali? — zapytała biorąc się za boki pani Marcinowa.

— Czemuż czemu? wiele by mówić o tem—odparł Barciński, dosyć, że i ja oświadczam asińdzce, że z tego nic być nie może. To są wielcy panowie, my chude pachołki, ja mojego dziecka na pozbycie ladajako nie mam. Pod temi złoconemi gzymsami rzadko szczęście mieszka... ot, wolę chatę.

— Słuchaj rybko, stanowczo odezwała się nie tracąc wcale fantazji jejmość, i ja wolę chatę, ale jak będzie wola Boża... to ją uszanuje... I jak ona postanowi o mojem dziecięciu, tak się stanie.

Barciński tylko splunął, ale zapomniawszy o posadzce i kobiercu, postrzegł zapóźno, że postąpił nieprzyzwoicie jak z sosnową podłogą w swym dworku, i z pokorą jął się błąd swój naprawiać, narzekając na pałace; na tem się też i rozmowa przerwała.

Wieczór już potem zszedł na cichej gawędce. ale Barciński poszedł do swego pokoju frasobliwy, i długo jeszcze wzdychał tam chodząc i modląc się po cichu. Justysia i pani Marcinowa usnęły w różowych marzeniach, panna Agnieszka we łzach i niepokoju. W tych pokojach wielkich, pustych, jakiś strach ją ogarniał, zdawało się jej co chwila, że widzi po kątach przesuwające się cienie mężczyzn i kobiece jakieś zakwefione postacie, dumne i groźne... śliskie posadzki jakby świeżą krwią były poblewane. W ciemnościach zarysowywały się na niej dusze pokutujące.

Było około północka, a panna Agnieszka próżno starając się przemódz jakąś trwogę, chodziła jeszcze po swoim pokoju, zamyślona głęboko, gdy do drzwi jej z lekka zapukano... W tej chwili obawa doszła do najwyższego stopnia, i już zebrała się krzyknąć, gdy z za lekko uchylonych podwojów ujrzała wchodzącą sługę, która na srebrnej tacce przyniosła jej list, wielką zamknięty pieczęcią.

— Najmocniej panią za śmiałość przepraszam, odezwała się służąca widząc jej trwogę — ale czuwając obok i słysząc, że pani się spać nie kładzie, myślałam że lepiej zrobię, gdy dziś przyniosę pismo, które dopiero rano miało pani być oddane...

To mówiąc popatrzyła, lekko się uśmiechnęła, postawiła tacę na stole i wymknęła się po cichu.

List leżał długo, nim p. Agnieszka do-

tknąć go miała odwagę, wreszcie przeżegnawszy się czytać go zaczęła. Był dosyć obszerny i znać już po wyjeździe Barcińskich z pustelni pisany, kasztelan przeczuł jakie wrażenie na stolniku i pannie Agnieszce spowiedź jego uczynić musiały, usiłował je rozprószyć, błagając, aby mu dawną przyjaźń i zaufanie wrócili:

„...Uważałam — pisał w liście — żeś pani także zimniejszą, trwożliwszą była ze starym przyjacielem... dla tego spieszę się do jej serca zapukać, jak ów przed laty ubogi podróżny, któregoście w dom wasz tak gościnnie przyjęli... Za cóż byście teraz się mnie mieli wyrzekać? Małoż ja ucierpiałem? cóżem winien, że na mnie cięży przeszłość, której dwudziestoletnie łzy zmyć nie mogły? Będzieciež mnie karać za grzechy, które Bóg przebaczył, każecież mi wyrzec się jedynego szczęścia, o jakiem marzę jeszcze, dla tego, że świat jest płochy i ludzie mają oczy skruszone...

Wiesz pani, jakiem się przywiązał całem sercem do waszego domu i do ciebie... wiesz, iż żyję tą nadzieją, że mi dozwolisz dozgonną nazwać się przyjaciółką .. mam słowo wasze... Od wczoraj, widzę to dobrze, ulękłaś się nieszczęśliwego... trwożę się, ale szanować będę wolę twoją... nie żądam ofiary, bo sam potrafię poświęcić się... ale wiedz pani, że poprzysiągłem żyć z tobą lub umrzeć samotnym na pokucie w pustelni mojej..."

Panna Agnieszka czytała, płakała i wielka trwoga a niepokój wstąpiła w jej duszę... ale duma przemagała, i postanowienie odrzucenia ofiary kasztelana górę wzięło.

— Żal mi go niewymownie porzucić, mówiła w duszy — przywiązałam się do niego, on do mnie, ale godziż się wnijść w tę rodzinę, aby za sobą wprowadzić nieprzewidziane nieszczęścia? Cóżby to było ze mną? Co on sam z mej przyczyny cierpieć by był zmuszonym? wstydzić się za wieśniaczkę... słuchać ich przekąsów z imienia nieznanego i ubóstwa,.. Nie, nie — powtarzała panna Agnieszka — Bóg tak chciał, byśmy się rozstali, on sam to uznać musi...

Ale mówiąc to płakała i czuła, że szczęśliwą nie będzie, iż nigdy nie odtęskni się po nim.

— Czemuż on nie jest jak ja ubogim? bylibyśmy tak szczęśliwi!

I wyrzucała sobie gorzko słabość swoją i łatwowierność ale któż mógł pod tą szarą suknią domyśleć się wielkiego magnata, w pokornym Żelidze, sławnego imienia? Tem długi przeciąg czasu wszelkie w końcu zbijał domysły.

Nazajutrz rano, gdy Barcińscy zebrali się około śniadania, z wielką trwogą o porcelanę kosztowną na której było zastawione, bo stolnik cuda o cenach tego saskiego wyrobu rozpowiadał i wszyscy się bali dotknąć jej aby nie potłuc, wszedł na pokoje sam kasztelan z siostrzeńcem swoim, oba w paradnych strojach, przy szablach, z sobolemi kołpakami pod pachą, z gwiazdami na piersiach, jakby na królewskie szli pokoje. Na siostrzeńcu czerwona, u wuja ciemno-szafirowa pod kontuszem przezierała wstęga. Stolnik starym szlacheckim obyczajem aż się uląkł tych luminarzów; ale pod aksamitnym kontuszem kasztelana i pod świetną wstęgą wynalazł się dawny Żeliga, który w ramiona potężne pochwycił go serdecznie, wzbraniającego się z uszanowaniem.

— Panie Marcinie, waść nie żartuj ze mnie, a tożem ja ten sam com włodarzył u waszeci, a u jejmości nieraz służył za szafarza, nie pognębiaj że mnie odpychając od siebie. Przyszliśmy z siostrzanem dziękować wam i jeszcze dziękować, boście mnie pogodzili ze światem, bom znalazł u was, czego Diogenes próżno w biały dzień z latarką szukał... człowieka.

Pani Marcinowej serce rosło, a na niej te splendory wielkiego nie czyniły wrażenia. Żeliga pozostał dla niej czem był, kiedy mu nieraz klucze do spiżarni dawała, aby ją wyręczył. Justysia też pozostała poufałem jego jak dawniej dziecięciem. Tylko Brciński i p. Agnieszka smutniejsi byli i widocznie pomięszani.

Pierwsze to jednak spotkanie z kasztelanem występującym w całym blasku, wesoło się odbyło, bo Barcińskiego niespodzianym sposobem ujął sobie. Szlachcic nie był bez pewnej odrobiny próżności, zmiarkował Żeliga, że przestraszonego i upokorzonego tą wielkością i pańskością podnieść potrzeba, postąpił więc sobie po ludzku, a może nie tyle przez rachubę jakąś ile przez wdzięczność. Wiedział, że niespodzianką, którą przynosił, Barcińskiego do siebie przywiąże i połechce.

Nie było naówczas trudno, umiejętnie chodząc, i u króla i w kancelarji, wyrobić order dla szlachcica majętniejszego. Kasztelan potajemnie przez Pinatolego postarał się o order S. Stanisława, dyplom i insignia oddano na jego ręce. Zdziwił się niepomału Barciński, gdy kasztelan po chwili wziąwszy z rąk siostrzeńca ozdobne pudełko, w te przemówił słowa:

— Przychodzę tu oprócz gospodarskiej powinności i przyjacielskiego obowiązku, jeszcze jako poseł J. K. Mości do JM. Pana stolnika. Znał oddawna najmiłościwszy pan, szacunek na jaki życiem prawem zasłużyłeś u całego ziemiaństwa, poznał bliżej cnoty jego z opowiadania ludzi wiarygodnych i *proprio motu*, chcąc okazać jak skromną a cichą ceni zasługę, przysyła na ręce moje dyplom i oznaki orderu św. Stanisława, które mam honor w imieniu króla złożyć nowemu kawalerowi i pierwszy mu tej łaski monarszej winszować.

— *Non sum dignus!* — zawołał — *non sum dignus!* wiem czyjej przyjaźni to winienem, a nie własnej zasłudze.

Marcinowa, Justysia, panna Agnieszka poczęła winszować ze łzami, Barciński istotnie był przejęty i zmięszany, i nie wiedział co już rzec, ściskając tylko kasztelana, ale serce mu jakoś zmiękło i owe pańskie splendory mniej się strasznemi wydawać poczęły.

Nie dał też rozmowie ustać kasztelan i oddawszy przyjacielowi order, zwrócił mowę ku innemu przedmiotowi.

— Abyście waszmości po tych labiryntach warszawskich doktorów nie szukali — rzekł — dwóch tu najsłynniejszych już na dziś zamówiono dla panny Justyny, choć mi się wszystko zda, że młodość sama, ruch powietrze, rozrywka i bez nich ją uleczą. Zresztą lekarze niech mędrkują, a tymczasem bawić się, po ogrodzie biegać i zapomnieć trzeba o chorobie. Daleko jechać zdaje mi się że nie będzie potrzeby.

— A! dałby to Bóg, odezwał się pan Marcin wzdychając, bo to sekatura wielka dla domatora podróż w odległe strony. Przyznam się kasztelanie, że mi postrach awantur i niebezpieczeństw, zwłaszcza z kobietami jechać mającemi, spać nie daje. Człek, gdy bywało z Chełma de Pińska ruszyć potrzebował, to się jak za kraj świata wybierał, cóż dopiero tam, kędy ani obyczaju, ani języka ani ludzi się nie zna?

Zamilkł i lżejsze nastąpiły pogadanki o tem i owem, naostatek gospodarz z siostrzeńcem umówiwszy się o przepędzenie dnia i rozrywki już uprojektowane dla gości, przeprowadzeni do ostatnich drzwi przez Barcińskiego, odeszli. (C. d. n.)

O pracy umysłowej.

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

Od niepamiętnych czasów walka o byt zmuszała ludzi do pracy. To, co im dawała natura, czy to pod postacią pokarmu, czy osłony w obec zmian atmosfery, czy schronienia przed napaścią nieprzyjaciół — wszystko to musiało się okazać niedostatecznem przy wzrastającem zaludnieniu okolicy, a tem samem przy wzrastających potrzebach życia. I te to potrzeby nauczyły człowieka wyzyskiwać naturę: zamiast przyjmować jałmużnę w małej ilości owoców przypadkiem zebranych, w małej ilości zwierzyny przypadkiem upolowanej, począł uprawiać ziemię, wyzyskując jej płodność — przyswajać dzikie zwierzęta, wyzyskując ich wielostronną użyteczność. Tak więc wyzyskiwanie przyrody w walce o byt było pierwszym zawiązkiem pracy.

W szeregu wieków, w kolejach postępu, praca wyniosła ludzkość do godności wielkiej, wszechpotężnej siły, która ujarzmiwszy dzikie siły przyrody, odwiecznych władców ziemi, uczyniła je posłusznemi swej woli, zjednała ich dla swych widoków — z wrogów zmieniając w dobroczyńców.

Piorun, który burzył siedziby człowieka, ujarzmiony siłą myśli, dziś roznosi ją po wszej ziemi, i zamiast burzyć — sam ostrzega o niebezpieczeństwie.

Wody, które nawałnicą idąc, druzgotały szczęście człowieka — dziś pracują na jego chleb, poruszając olbrzymie warstaty

Za zbliżeniem się tej czarnoksięskiej siły, która się zowie pracą ludzkości, góry rozstępują się — morza łączą — dając miejsce nowym zdobyczom rozumnej pracy.

Tak jest, praca dzisiejsza, jest pracą rozumną, jest pracą myśli zjednoczonej z pracą ciała,— i tylko w takiem zjednoczeniu dwie te siły stają się prawdziwą potęgą.

Myśl bez doświadczenia zmysłowego, zostawiona sama sobie, zapomina o ziemi, zapomina o węzłach łączących ją z ludzkością, pogrąża się w krainę marzeń, zużywa się sama w sobie, i ginie w mglistej ekstazie indyjskiego Brahmina

*

Praca fizyczna, nieoświecona promieniem myśli, staje się pracą robaka nurtującego w podziemiu, monotonną męczarnią, do której przywykają tłumy bezmyślne — pracą Syzyfa upadającego pod ciężarem, który go przygniata bez ustanku.

Jeśli zwrócimy uwagę na historję pracy w ludzkości, to nietrudno nam będzie spostrzedz, że postęp cywilizacji polega na stopniowym wzroście udziału pracy umysłowej w pracy fizycznej. To, co nazwałem wyzyskiwaniem natury, działo się wyłącznie za sprawą pracującej myśli, która bezmyślną pracę ciała umiejętniej zużytkować i do lepszych celów skierować umiała. Cały szereg postępu, jaki widzimy np. pomiędzy prostotą pierwszego toporka wieków przedhistorycznych, a subtelnością wyrobu dzisiejszych naszych narzędzi i maszyn — polegać będzie nie na większem natężeniu pracy fizycznej, (gdyż łatwiej dzisiejszemu szlifierzowi wykończyć elegancki nożyk stalowy, niż ówczesnemu rzemieślnikowi było, bez narzędzi i warstatów, utoczyć toporek kamienny) — ale przeciwnie, postęp ten polegać będzie wyłącznie na udziale pracy myśli w pracy ręki.

W historji cywilizacji fakt ten widnieje jak na dłoni: bezmyślna praca ciała zmniejsza się stopniowo - rozumna praca umysłu stopniowo wzrasta.

Po tych uwagach ogólnych, zajmę się nieco szczegółowiej rozbiorem pracy umysłu w stosunku do pracy ciała, i przedstawię w krótkości, co w tym przedmiocie ma do powiedzenia z jednej strony psycholog, jako badacz duchowej czynności umysłu — z drugiej fizjolog, jako badacz fizycznych czynności ciała.

Weźmy naprzód pod uwagę pracę umysłową w jej największem odosobnieniu od pracy fizycznej. Przypuśćmy, że mamy przed sobą człowieka leżącego bezwładnie, nie dającego żadnych oznak czuwania. Patrząc na jego twarz nieruchomą, na jego zamknięte powieki, nie będziemy w stanie na pierwszy rzut oka ocenić czy spi, pogrążony w bezwiedzy, czy też tylko zatopiwszy się w sobie, marzy, rozmyśla, oblicza, przypomina lub tworzy, jednem słowem pracuje wewnętrzną, świadomą siebie pracą ducha.

Przypuśćmy ten drugi przypadek. Człowiek, którego ciało spoczywa — pracuje duchem. Ramię jego bezczynne, nieruchome, nieobciążone żadnym ciężarem, któryby go przyprawiał o trud fizyczny — ale kto wie, czy duszy jego nie obarcza w tej chwili stokroć przykrzejszy ciężar: wyrzutów sumienia, niepewności, zwątpienia lub tęsknoty? Czy duch jego nie wysila się w walce stokroć cięższej od najmozolniejszej pracy ciała. Może gdy ciało opadło bezsilnie, duch jego wije się w cierpieniu, myśl daremnie wyrywa się z pod gniotącego ją ciężaru — tłumy boleśnych widziadeł gromadzą się i plączą. Przeczucia i obawy uderzając gromem w pogodny przed chwilą poziom marzeń i nadziei, wzburzają go i mącą — każda myśl, zaledwie urodzona pod czaszką, zdaje się być porwaną w jakiś wir piekielny, który ją ciska, niby ocean rozbitka, uderzając nim o skały. Ciało opadło pół-martwe, a jednak burza wewnętrzna spełnia się — nawałnica duchowa sroży się i wzmaga — roztrąca głos egoizmu, który wyłamując się z pod fali przykrych wrażeń, szuka w tym chaosie uczuć i przypuszczeń, choć promyka pociechy, choć iskierki nadziei.

Gdy siła burzliwa wrażeń nurtujących głąb' duszy wyczerpie się, znużone walką władze ducha słabną — sen zażegnywa wzburzone żywioły i nad zmąconą głębią uczuć roztacza się spokojna noc bezczucia....

Noc bezczucia, noc zapomnienia, z gwiazdami snów, z niedosłyszanem echem wspomnień, łagodnem tchnieniem nadziei orzeźwiającej tętniące skronie... dopóki świt samowiedzy wschodzącej na widokrąg naszych myśli, nie rozprószy różowej mgły marzeń.

Niemniej jednak marzenie senne może się przeciągnąć po za chwilę stanowczego przebudzenia. Walka świadoma i spokój senny, mogą ustąpić miejsca cichej pracy marzenia na jawie. Odosobniwszy się od wrażeń zewnętrznych, nie tamujemy niczem swobodnego biegu wyobrażeń, które też kojarząc się i układając samowolnie w coraz to nowe kombinacje, jak różnobarwne szkiełka kalejdoskopu, składają przed oczyma naszej świadomości grupy niknących obrazów, łańcuchy dźwięków, poplątanych w sposób mniej lub więcej prawidłowy, mniej lub więcej dziwaczny. Doznane niegdyś wrażenia zmartwychwstaną, sceny z miniowej przeszłości, których byliśmy świadkami, roztaczają się przed okiem ducha — mimo wolnie porównywamy je ze wspomnieniami świeżych zdarzeń — nucimy w myśli piosnkę, która nie wiedzieć zkąd nasunęła się nam na pamięć — wpatrujemy się w rysy drogiej sercu osoby, wynurzające się z fali tysiącznych drobnostek na tle rozkosznych myśli. I uśmiech, i spojrzenie, i rumieniec odżyły pod cudownem tchnieniem wyobraźni — ale niestety! odżyły na chwilę tylko — tłumy nowych wyobrażeń przypływają i drogie oblicze niknie w oddali, zamięszane w ten barwisty taniec myśli, który się zowie marzeniem. Zaprawdę, nie zbyt ciężka to praca — takie marzenie! — praca Lazzarona, leżącego na ciepłym piasku południa, z okiem wpatrzonem w błękit włoskiego nieba. Ale czyż sami Lazzaroni na świecie? czyż nie było i niema ludzi, którzy odosobniają się od wrażeń nie dla puszczenia myśli samopas, ale przeciwnie dla lepszej nad niemi kontroli? Czyż zamyślenie Archimedesa, Kopernika, Newtona, Szekspira lub Goethego możemy nazwać próżniactwem? Dosyć spojrzeć na owoc tej pracy wewnętrznej genjusza, żyjący przez wieki, karmiący całe legjony myślicieli, pobudzający do nowej pracy całe pokolenia i narody. Kilka chwil wewnętrznego namysłu, kilka błysków wyobraźni, były wystarczającemi dla odkrycia nowych horyzontów w nauce, nowych gałęzi przemysłu, nowych wzorów sztuki, dla nadania światu nowej postaci, — jeśli tym namyślającym się duchem był genjusz Arystotelesa, Leibnitza, Dantego lub Napoleona.

Silniejsze intelligencje, wyćwiczone w pracy ducha, mogą przy zupełnem odosobnieniu nadawać myślom swoim więcej pożyteczny nastrój, warunkujący ich praktyczną doniosłość. Umysł zajęty jedną panującą myślą, około niej skupia całą swoją działalność, zastanawia się, t. j. zatrzymuje uwagę nad danym przedmiotem, — rozważa, czyli porównywa z sobą sprzeczne wyobrażenia, — oblicza, czyli kombinuje wyobrażenia w pewne prawidłowe grupy, upatrując wypadkowej takiej kombinacji, — wreszcie tworzy nowe zestawienia pojęć czyli nowe myśli, nowe zestawienia wyobrażeń czyli nowe obrazy, nowe zestawienia dźwięków czyli nowe melodje, nowe zestawienia cyfr czyli nowe wzory i formuły.

Wszelkie namyślanie się, wszelkie obrachowywanie polega zawsze na układaniu się w pewne grupy prawidłowe danej liczby jasnych wyobrażeń i pojęć, z którego to składu ma powstać nowe nieznane nam przedtem zestawienie wyobrażeń i pojęć, czyli nowa myśl. Każde namyślanie się jest poszukiwaniem takiej wypadkowej, takiej niewiadomej.

Kiedy grając w szachy namyślam się nad danym ruchem, to znaną mi jest tylko pewna grupa figur — nieznany zaś rezultat nowego ugrupowania tych figur. Skoro po chwili rozwagi zdołam dojść do odkrycia skutków tego lub owego przestawienia, to namysł mój skończony.

To samo przy grze w karty, to samo przy rozwiązywaniu szarad i rebusów, to samo wreszcie przy rozmyślaniu nad tem, jak mam w danym razie postąpić. Okoliczności są mi znane, ale nieznane mi jest następstwo mego postąpienia tak lub owak. Dlatego właśnie namyślam się, czyli szukam tego następstwa, tej wypadkowej, tej niewiadomej. Z kombinacji ilości wiadomych a, b, c, wykrywam zawartą w tej kombinacji niewiadomą x. Raz dodaję, drugi raz odejmuję, raz potwierdzam, drugi raz przeczę, dopóki w ostatniej konkluzji, w ostatniem zestawieniu, nie wyjaśni się rzecz szukana, nie podstawi za x wartość niewiadomej. Dokonawszy tego, rozwiązaliśmy zadanie, odgadli szaradę lub rebus, obmyślili dane poruszenie pionka, wybór karty, zadecydowaliśmy odpowiedni sposób postąpienia w danych okolicznościach, ułożyliśmy formę listu albo mowy tronowej, plan zabawy albo plan kampanji, szkic budowli albo szkic poematu.

Łatwość, z jaką dochodzimy do wyznaczenia niewiadomej, czyli łatwość namysłu, rozwagi i obrachowania, zależy z jednej strony od liczby wyobrażeń wiadomych — z drugiej, od wprawy w ich kombinowaniu. Do wprawy dochodzi się przez ćwiczenie, ćwiczenie wytwarza w umyśle naszym pewne nałogowe szemata, pewne formy i wzory, według których, podobnie jak dziecko piszące kaligrafją po wodnych znakach, bez wielkiego wysiłku woli i uwagi, możemy dane wyobrażenia kombinować. Do jak niepojętej doskonałości doprowadzić możemy ten wewnętrzny nasz mechanizm, dowiedzie najlepiej przykład cytowany w dziele prof. Szokalskiego „Fantazyjne objawy zmysłowe" T. II str. 89.

Przed kilkunastu laty podziwiano w Hamburgu Zacharjasza Dose, który przeszedł bezwątpienia wszystkich znanych dotąd najznakomitszych rachmistrzów. Mnożenia, dodawania, odejmowania lub dzielenia kolosalnych liczb, wykonywał on w okamgnieniu z pamięci. Zapytany np. wiele uczyni 354,783,293 pomnożone przez 5,423,957?— po półtory minuty namysłu, odpowiedział:

— Kwad. 1,924,329,325,550,401.

— Wiele uczyni tryl. 6,529,710,810,352 podzielone przez 98? — Odpowiedział prawie w tej samej chwili:

— 66,629,702,452 $^4/_7$.

Po odpowiedzeniu na każde pytanie, Dose brał kredkę w rękę, i z niesłychaną szybkością sprawdzał rachunek piśmiennie, a w tedy miljony obliczał z taką łatwością, z jaką my obliczamy, ile czyni 2 mnożone przez 4. Mówił np. liczba tylu a tylu miljonów pomnożona przez 68, daje tyle — odjąwszy zaś tyle biljonów, pozostanie tyle i t. d.

Z podobną szybkością wyciągał pierwiastki kwadratowe i sześcienne z liczb kilkudziesięciocyfrowych.

Dla obliczenia pierwiastka 19 ej potęgi z licz-

by 36-cio cyfrowej, potrzebował tylko 3 ch minut namysłu. Dwie liczby 20-to cyfrowe pomnożył przez siebie w przeciągu 10-ciu minut bez zmyłki. Największym rachunkiem jaki wykazał, było wyciągnięcie pierwiastka 52-ej potęgi z liczby zawierającej 97-m cyfr, i rozmnożenie dwóch liczb po 100 cyfr zawierających, co mu zajęło przeszło $8\frac{1}{2}$ godzin czasu. Przez cały ten czas rachował na pamięć, nie czując ztrudzenia, przyczem rozmowy obecnych osób zupełnie mu nie przeszkadzały. Rzecz godna zastanowienia, że Dose bynajmniej z natury nie posiadał szczęśliwych do rachunków zdolności. Przeciwnie, z początku szło mu z niemi bardzo ciężko, za co też w szkole częste odbierał kary. Wskutek tego postanowił zadać sobie pracę ciągłego ćwiczenia, poczem przychodziło mu to coraz łatwiej. Pamięci liczb nabył z pisania ich na tablicy, i dopiero później zaczął w pamięci rachować, gdy wypisywanie cyfr okazało mu się już zbytecznem. Przez kilkanaście lat zajmował się był wyłączeie temi ćwiczeniami, które wyrodziły w nim taki nałóg, że nie był w stanie iść, nie rachując własnych kroków, albo też spojrzeć na cokolwiek, nie obliczając natychmiast ilości przedmiotów. Wyższej matematyki nie znał i nie był w stanie jej pojąć — wszystkie siły jego rozumu i wyobraźni, skupiły się w tej jedynej pracy umysłowej, czyniąc go najdoskonalszą machiną rachunkową, do żadnej innej pracy niezdolną.

(C. d. n.)

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

JANA KUBAREGO.

(Ciąg dalszy.)

Ponepe w Styczniu 1874 r.

Patrzcie! czy widzicie, że to już 1874 rok, rok odpuszczenia i wybawienia! Cieszmy się! Sam sobie nie wierzę, że to sześć lat minęło od chwili naszego rozstania się, a pięć lat jak bobruję po wyspach Oceanji. Ach moi przyjaciele, jak mi to miło pomyśleć, że to nie długo się ujrzymy, uściskamy, że znów zasiędziem gdzie, jak to ongi bywało za czasów studenckich, w jakiej ustromej knajpce i przy kuflu gawędzić będziemy o dawnych czasach naszych, o przeżytych troskach i rozkoszach, o cudownych światach, o zdobytych wiadomościach i o planach na przyszłość.

Dzisiaj jednak o sobie samym mało mogę wam donieść. Owe wciąż samotne życie dziwnie na mnie oddziałało, osowiałem. Im dłużej tu jestem, tem sroższe czuję życie, tem większa, nieokreślona jakaś tęsknota mną owłada. Wysmukłe, czarnookie, dziewiczych wysp córy, przypomniały mi tylko brak jakiejś nieznanej mi istoty i przychodzi chęć szukania jej nad Wisłą.

W owym czasie, gdy bajka o Rynaldo Rynaldinim wielkim bandycie włoskim, słodkim strachem mnie przejmowała, gdy szczyt ludzkiej szczęśliwości widziałem w Rubinzonie Kruzoem, posiadanie strzelby, żywej małpy i papugi stawiałem na równi ze skarbami Krezusa, byłem bardzo szczęśliwym.

Później poślubiony awanturze, bezwiednie pędziłem po drodze życia, nie jak prawem przyrody bezpiecznie rzucone ciało w przestrzeni, ale jak z właściwego obiegu wyrwany meteor, który, produkt przypadku, wpadając w nie swoją atmosferę, choć groźnie i wspaniale, ale koniecznie rozbić się musi.

Szczęściem prześniłem tę epokę dzieciństwa bez końcowej katastrofy, i drugi sen mej młodości, Robinzonizm, w praktyce stał się moim udziałem. Mam w posiadaniu cały arsenał, żywe papugi i małpy, samotne wyspy i wspaniałą przyrodę. Sny mego życia więc się spełniły, otrzymałem wszystko o czem marzyłem, i to nadto — o czem nie marzyłem, a co jest dla mnie ważniejszem niż sny i pozory.

Żyjąc u nas, tyle znajdujemy wpływających na nas wrażeń, tyle roztargnienia, tyle kłopotów tylko o zabezpieczenie fizycznego życia, że wątpię czy $^{2}/_{3}$ żyjących ludzi znajduje czas myśleć, że żyją i jak żyją, czy znajdują czas z przeszłych doświadczeń ciągnąć wnioski dla przyszłych.

Tutaj zawsze sobie pozostawiony, znalazłem to, o czem nie marzyłem w młodości, znalazłem sposobność myślenia. Nie podług prawideł logiki drukowanej na papierze, ale tej, którą znajdzie w sobie każdy człowiek odosobniony od wpływów zewnętrznego świata. Doświadczenia me przeszłe miałem czas przeżuć i obrachować ich przyczyny, przyszedłem do pewnego stałego, mnie zadowalającego poglądu na życie ludzkie w ogóle i zdobyłem jakiś dziwny spokój, obojętność ducha dla przeszłych doświadczeń i dla przyszłych. Przyszedłem do przekonania, że życie człowieka żyjącego w wolnej przyrodzie, jest inne od naszego społecznego życia, że u nas prawda, pojęcie piękna, sprawiedliwość przyrodzona, są w samym zarodku pojęcia skazane na cząstkowość, na stan względny, że u nas nie warto nic bezwzględnie kochać, lub nienawidzieć, ale wszystko zimno obrachować. Niczem nie trzeba dać się owładnąć, a trzeba, by być zdolnym kierować okolicznościami, jednem słowem, życie nasze jest sztucznem jak pajęczyna, i również niepewnem a słabem.

Pogawędzimy tedy o mnie na zimno.

Jak tu żyję, wiecie z moich przeszłych listów, dotąd nic się nie odmieniło, gdyż dla mnie wszędzie gdzie wolna, swobodna przyroda panuje, jest dobrze choć względnie. Troski o utrzymanie nie mam, choć kłopoty codziennego życia nieraz do niecierpliwości mnie prowadzą, i obecny koniec mego kontraktu z przyjemnością witać mi każą. Znajdę choć przez kilka miesięcy odmianę i to mi doda posiłku na przyszłość. Pan Godeffroy pragnie mnie tu nadal zatrzymać, gdy jednak czuję potrzebę ujrzenia was choć raz jeszcze w tem życiu, przybędę więc gościem i potem znów pójdę na wędrówkę, gdzie mi obraz wszędzie swobodnego Oceanu jest obrazem prawdziwego życia.

Lada chwila oczekuję okrętu, lada chwila mogę się już znaleźć w powrocie, i na pewno możecie liczyć, że w chwili czytania tego listu, jestem albo na dnie Oceanu, albo w połowie drogi szybuję.

Gdy chwila powrotu się zbliża, wszystkie przeszłe nieprzyjemności, trudy i umartwienia, stają się miłemi wspomnieniami, ponieważ są wspomnieniami już przeszłemi. Duch mój zwraca się ku przyszłości i cieszę się mającemi przybyć wrażeniami. Przedewszystkiem spodziewam się okrętu, który mi przyniesie wiele listów, jeżeliście takowe napisali. Będzie to dla mnie wielką radością, jeźli me nadzieje się spełnią. Potem ruszę w drogę, i jeżeli mnie rekiny nie połkną, ujrzę ląd Europy, poczciwy ten ląd, zawsze stary, postępujący, rozwijający się ale nieodmienny.

Zaszłe zmiany wynagrodzą mnie za 5cio letnie odosobnienie od świata. Ludy się czubiły, królowie potracili korony, lecz mniejsza o to, ja unoszony parą przybywam nareszcie na dworzec kolei, spostrzegam mą matkę, siostrę, was, braci, przyjaciół. Całowanie, ściskanie, pakowanie w dorożkę bagaży itd. Jeźli nie wystąpi jaki Deus ex machina w postaci policjanta i nie zaprosi mnie do bezpłatnego hotelu na odpoczynek i rekolekcje. Lecz pal djabli i to, miejmy nadzieję, że wszystko się dobrze ułoży i pierwszą naszą czynnością będzie — odbyć pielgrzymkę do uświęconych wspomnieniami knajpek.

Jakkolwiek tęsknię za naszemi stronami, bynajmniej nie opuszczam Oceanji bez żalu, i bądź co bądź pragnę powrócić tu jeszcze.

Jeżeli zastanowię się nad sobą, to zdaje mi się, żem się znacznie odmienił; pozostawiony bez ciągłego związku z tem wszystkiem, co mnie dawniej tak obchodziło, stałem się nieco obojętnym na wszystko. Nawet myśl życia po za Polską, nie jest dla mnie teraz tak straszną jak dawniej, zwłaszcza, że piszecie, iż mi będzie za ciasno u nas... być może, tem bardziej, że żyjąc zdala od mej ojczyzny, będę mógł z większą korzyścią dla niej pracować.

Nie mając polskich gazet, w obcych szukałem szpalt dotyczących nas, ale ma gorączkowa chciwość nie znalazła pokarmu. Ograniczyć się więc musiałem na sobie samym i może się zanudziłem, stałem się niecierpliwym.

Tutaj na Ponepe nie znoszę gości, jestem najszczęśliwszy, gdy sam jestem, i okropnie się boję jak mi się życie w Europie wyda. Z drugiej znowu strony zdaje mi się, żem dopiero wczoraj Hamburg opuścił, czuję się wiecznie młodym, szalonym nawet. W rzeczywistości jednak zimno o sobie sądząc, zdaje mi się, żem skorzystał, stałem się rozważniejszym i poczułem w sobie jakąś próżnię, jakiś niedostatek, z chęcią wypełnienia tychże.

Mój poprzedni awanturniczy duch, skaczący z przygody w przygodę bez chwili namysłu, ochłonął i zmienił się w stałość i energiczne przeprowadzenie raz przedsięwziętych planów, co z tutejszymi kacykami nie jest sprawą łatwą. W ogóle zdaje mi się, że mój pięcioletni karcer na Oceanji był dla mnie doskonałą lekcją, i wrócę do was już ustalony i nie mniej was kochający.

Że ten list mój jest suchy, nie dziwcie się, moja właściwa chwila pisania listów jest wówczas, gdy od was pocztę odbiorę, wtenczas ożywiam się i jestem poruszony.

Przybędę wkrótce do Hamburga, ale czy przybędę do Warszawy to wielkie pytanie, bo i cóż mnie tam czeka? — zawody i rozczarowania, pomimo że jak słyszę, niektóre znakomite osobistości poświęcają mi uwagę swoją. Ta jednak nabawia mnie wiele kłopotu, bo oni przesądzają pewnie i zbyt są łaskawi na mnie.

My w każdym razie zobaczyć się musimy, bo gdy znów pożegluję na Pacifik, nie wiem kiedy i czy zejdziemy się jeszcze...

(C. d. n.)

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

Józef Tretiak.

(*Ciąg dalszy*).

Matka mieszkała wówczas przy starszym bracie, który był proboszczem w Chocimierzu, majątku Koziebrodzkiego, starosty olchowieckiego. O kilka mil od Chocimierza, w Zahajpolu, mieszkali państwo Ponińscy, starostwo ostrowscy i niebawem Karpiński zaczął bywać w ich domu. Oboje państwo odznaczali się wyższem ukształceniem, i to czyniło ich dom ponętnym dla młodego poety. Był on wtedy wolny, jak ptaszek, i nic mu nie przeszkadzało zostać z czasem stałym mieszkańcem tego domu. Pani uczyła go początków języka francuskiego, on jej synów łaciny. Karpiński miał wówczas dwadzieścia parę lat, pani była o 14 lat od niego starszą i nieodznaczała się pięknością twarzy, przecież Karpiński upatrzył w niej sobie drugą Justynę. Pani Marjanna Ponińska, jakkolwiek nieładna, miała piękny wzrost, bardzo białą cerę, prześliczną rękę, a przedeszystkiem wzbudzała uwielbienie w Karpińskim swoją uczonością, grzecznością i wiedzą, której zaczerpnęła nie z jezuickiej łaciny, ale z francuskiej literatury. Z ust pani wojewodzicowej (mąż jej był wojewodzicem poznańskim) przemawiał do Karpińskiego świat nowy—oświaty francuskiej, bardzo różny od świata jezuickiej teologji, w którym się Karpiński dotąd kształcił. W zamożnym i światłym domu Ponińskich, jeżeli nie było znaczniejszej bibljoteki, to musiały być przecież takie dzieła, jak Woltera i Russa, czytywane wówczas w całej Europie; można także przypuszczać, że znalazł tam sielanki Fontenelle'a i inne wzory francuskiej idylli, na które się potem w swoich sielankach zapatrywał. Przewodnikiem w tym nowym świecie pojęć i poetyckich form była pani Ponińska, i to tłómaczy miłość młodego poety dla kobiety tak znacznie starszej od siebie, a zarazem ukazuje, jak wielki wpływ musiała wywrzeć Ponińska na życie i zawód poetyczny Karpińskiego.

Pani Ponińskiej musiała się podobać naiwność i żywość Karpińskiego, widziała zapewne talent poetyczny w młodzieńcu, i wreszcie niepodobna, aby jej nie schlebiała miłość młodego poety. Ale umiała panować nad sobą, i stosunek jej do Karpińskiego był raczej stosunkiem przyjaciółki, starszej siostry, niżeli kochanki. Już to zdaje się, że żywemu, naiwnemu i drażliwemu poecie przez całe życie brakło towarzyskiego taktu, owej umiejętności życia, bez której przy największych przymiotach trudno cieszyć się przyjaźnym stosunkiem z ludźmi; spostrzegała to mentorka i dawała stosowne nauki poecie. Poskramiała też zapędy jego miłości, „żem uznał — powiada on — niezaprzeczoną rzetelność zwyczajnej przypowieści: kochaj kobietę uczciwą, a sam staniesz się uczciwym."

Życie, które Karpiński pędził w domu swej drugiej Justyny, było bardzo lekkie, swobodne i bez troski, ale też i próżniacze w całem słowa tego znaczeniu. Tej trochę łaciny, którą dawał dzieciom Ponińskiej, ani nauki francuskiego języka, którą pobierał od pani domu, nie można uważać za jakieś stałe zajęcie. Wprawdzie w tym to zapewne czasie pisał swoje sielanki do drugiej Justyny, atoli praca ta poetycka nie wiele mogła mu zajmować czasu. Poznawszy się przez Ponińskich z sąsiedzkiemi i powinowatemi im domami, pomykał często tam, gdzie go nęciły polowania, tańce, muzyka i piękne dziewczęta, bo Karpiński, jakkolwiek czcił, kochał i opiewał swoją Justynę, nie był jednak ślepym i obojętnym na wdzięki innych kobiet. Tak spędził lekko kilka lat najbujniejszej młodości, nie myśląc o przyszłości, żyjąc chwilą dzisiejszą, która mu wystarczała.

Wśród tego lekkiego życia zaskoczyła go konfederacja barska. Karpiński miał wówczas lat około 26*), był przyjacielem Bielskiego i Mrozowickiego, szwagrów Ponińskiej, z których pierwszy wystawił stukonną chorągiew, drugi sam z dwoma synami ruszył do konfederacji; pomimo to jednak, nie wziął poeta udziału w ruchu patrjotycznym. Nie podobała się Karpińskiemu w konfederatach nietolerancja i zawadjactwo, być może jednak, że główną przyczyną jego wstrzymania się od udziału w ruchu była bojaźń narażenia życia, wynikająca z niezmiernej drażliwości poety i połączona z chęcią odznaczenia się na innem, nie wojskowem polu. Czuł w sobie Karpiński talent poetycki, chciał na tem polu zasłużyć się narodowi. Surowo go sądzi z tego powodu Bartoszewicz w swojej Historji literatury polskiej, ale gdybyśmy mieli być tak surowi dla Karpińskiego, to musielibyśmy tę surowość zastosować i do sądu o dwóch największych naszych poetach, Mickiewiczu i Słowackim, którzy także nie wzięli czynnego udziału w ruchu narodowym, jaki ich na początku zawodu poetycznego zaskoczył.

Bądź co bądź, czuł poeta fałszywość swego położenia i postanowił na czas wojny wyjechać z kraju. Wyjeżdżał wtedy ze Lwowa do Wiednia młody Puzyna z nauczycielem swoim, a przyjacielem Franciszka, księdzem Kobylańskim, jezuitą; Karpiński zabrał się z nimi i pojechał. Na drodze spotykali ich konfederaci i wyrzucali Karpińskiemu, że młody i czerstwy wyjeżdża z ojczyzny, kiedy ją ratować potrzeba. Musiały te wyrzuty głęboko utkwić w sercu poety, kiedy nie zapomniał o nich do późnej starości i czuł się w obowiązku niejako wyspowiadać z nich w pamiętniku; niepotrzebnie tylko dodawał, że ludzie, którzy mu te wyrzuty robili, byli pijani. W każdej, nawet najświętszej sprawie znajdą się zawsze niegodne wyjątki, nie mogła więc ta okoliczność służyć Karpińskiemu za wymówkę. Przed Krakowem jeszcze otrzymał z Warszawy patent na kapitana, co mu w Wiedniu miało ułatwić wstęp nawet na cesarskie pokoje. Niewiadomo, kto mu wyrobił ów patent, widoczna jednak rzecz, że musiał ten stopień być niejako wynagrodzeniem za wstrzymanie się od udziału w konfederacji.

Do Wiednia przybył Karpiński w roku 1770**). Słysząc o tem mieście jako o bardzo rozpustnem, a nie bardzo dowierzając sobie, przysiągł w Krakowie w jednym z kościołów, że będzie żył jak najskromniej. Wiedeń po Krakowie nie bardzo go zachwycił, natomiast wszędzie za granicą kraju zadziwiał go porządek, ład i czystość, jakiej w Polsce nie widział. Bolało go także, że Polacy złej sławy używali w Wiedniu, i tylko tem się pocieszał, że nie ma w Polsce takiego despotyzmu i serwilizmu jak tam, w Wiedniu, gdzie na widok przejeżdżającej cesarzowej, ludność padała na kolana. Sam nawet zmuszony był stosować się do tego, jak powiada, bałwochwalstwa. Karpiński wyjechał za granicę, żeby się czegoś nauczyć; w Wiedniu stały przed nim otworem rozmaite źródła nauki, ale że nie miał żadnego wytkniętego celu, do któregoby stosował to swoje uczenie się, więc było ono bardzo dorywcze, niesystematyczne i mało pożytku przynoszące. Chodził mianowicie na rozmaite wykłady uniwersyteckie, z których najbardziej bawiła go fizyka eksperymentalna i chemja. Więcej korzyści musiał odnosić z uczęszczania do bibljoteki cesarskiej, gdzie między innemi rzeczami kazał sobie pokazać Djarjusz oblężenia Wiednia przez Turków. Prócz tego uczył się tańczyć i douczał się zapewne francuzczyzny, mieszkając u metra francuskiego języka. Co się tyczy rozrywek, tych obficie mu dostarczał teatr, różne widowiska, licytacje, ognie sztuczne, a wreszcie towarzystwo polskie. Ale niebawem i nauki i rozrywki przestały mu być miłemi. Zapadł na zdrowiu, zaczął niszczeć, obudziła się tęsknota do kraju, a im smutniejsze dochodziły wiadomości ztamtąd, tem się silniejszą stawała. Wówczas to chodząc nad brzegiem Dunaju, podobniejszy do cienia jak do człowieka, ułożył wiersz swój pod tytułem: „Tęskność do kraju" Wreszcie wyczytawszy w Djarjuszu Stahremberga, że powietrze wiedeńskie jest bardzo niezdrowe dla Polaków, bo z wojska Sobieskiego z powodu powietrza zginęło dwa razy tyle, co od Turków, postanowił co prędzej opuścić Wiedeń i wrócić do kraju.

Po półtoraroczny pobycie wyjechał z Wiednia pod koniec września 1771 r. Wracał przez Węgry, bo chciał i ten kraj poznać. W przejeździe widział Preszburg, Peszt i Tokaj. Z rozczuleniem witał ziemię ojczystą. Po noclegu na granicy u strażnika polskiego, który go barszczem narodowym poczęstował, poczuł się Karpiński zdrowszym, i zauważał, że nigdzie tak pięknie, jak na swojej ziemi nie wschodziło słońce, i że nawet dym w izbie strażnika nie był tak przykrym jak gdzieindziej.

Przyjechawszy do Lwowa, zastał panią wojewodzicowę wdową. Pani ta tyle mu dawniej okazywała przyjaźni, iż spodziewał się teraz ziszczenia swoich pragnień, skoro ze śmiercią jej męża usuwała się zapora dzieląca go od kochanki. Ale znalazł Justynę może jeszcze surowszą niż przedtem. „Najgrzeczniej od niej przyjęty byłem, i widziałem to, że się ze mną bawić lubiła i to drugie, że bawić sromotnie chroniła się." Mieszkała wówczas o milę ode Lwowa, w domu swym wiejskim w Milatyczach. Bawił przy niej stale dawny rządca jej domu, Siedlecki, człowiek stateczny, prawy, światły, cichy i skromny, wielki przyjaciel Karpińskiego, który powiada, że nigdy go nie widział rozgniewanego, pomimo, iż na swym stanowisku rządcy domu dużo miał zwykle powodów do gniewu. Tworzyli oni we troje zamknięte, poufne kółko, w którem bardzo przyjemnie czas spędzali. Zdaje się, że cichy Siedlecki, który i dawniej po przyjacielsku powstrzymywał zapały miłośne Karpińskiego, i teraz najwięcej się przyczyniał do utrzymania harmonji w owem kółku. Karpiński naturalnie pragnął połączyć się węzłem małżeńskim ze swoją Justyną, ale pani wojewodzicowa, widząc jak wiele starszą jest od niego i niedowierzając stałości uczuć poety, bała się tego małżeństwa, które też i nie przyszło do skutku. (C. d. n.)

*) Pam. str. 63.

**) Poeta, którego przy pisaniu pamiętników pamięć często zawodziła, postawił r. 1769. P. Fr. Próchnicki w pomienionej już rozprawie swojej (str. 11) niezbitemi dowodami wykazał, że przyjazd Karpińskiego do Wiednia przypada na marzec 1770, odjazd na wrzesień 1771.

Wzrost i rozwój armij stałych w Europie.

Napisał
LEOPOLD WINKLER.

(*Ciąg dalszy.*)

Aleksander W. bardzo roztropnie pierwszy tę masę zaatakował, i nietylko ją rozbił całkowicie, lecz Persowie w największym nieładzie rozsypali się, a w ucieczce nadzwyczajna ich liczba śmierć znalazła. Siedm tysięcy jazdy macedońskiej cudów dokazywało. Podług współczesnych lub najbliższych tej epoki historyków, stracili Persowie 100,000 piechoty i 10,000 kawalerji. Ze strony macedońskiej padło tylko 300 piechoty i 150 kawalerzystów.

W bitwie pod Arbelą, we dwa lata po tem stoczonej (331 roku przed Chr.) wyższość Greków niemniej okazała się nadzwyczajnie wybitną. Sam Darjusz dał pierwszy przykład ucieczki, a cała jego armja rozpierzchła się, gdy zaledwie tylko dziesiąta jej część w boju była czynna. Straty Persów były nadzwyczajne. Greków stosunkowo zginęło bardzo mało. Siły Aleksandra W. wynosiły tylko 54,000 ludzi, a Darjusz miał ich 600,000. Prawda, że tak wielkie powodzenie decydujące o losie pobitego przeciwnika, zawdzięczać należy przedewszystkiem w części nieznajomości sztuki militarnej, a w części niekarności i niedołęstwu Persów, oraz ich sprzymierzeńców; niepodobna zatem od rzutu oka nie spostrzedz różnicy wymownie przemawiającej na korzyść wojsk regularnych i stałych.

Armja Filipa Macedońskiego, ojca Aleksandra, była pod względem taktyki najlepszą w swym czasie. Ona wkrótce stała się armją regularną, a dla jej skompletowania przyjęto i wprowadzono do szeregów najętych żołdowników. Przed Filipem armje Greckie złożone były tylko z bogatych obywateli, obowiązanych prowadzić wojnę własnym kosztem, a otrzymujących w nagrodę za swoje poświęcenia wysokie godności w służbie administracyjnej i sądowej, posiadających niezmierne przywileje, które zapewniały im wysokie społeczne stanowisko. Tych obywateli bogatych powoływano tylko na pewien czas, gdyż po kilku miesiącach służby, w czasie wojny, powracali do swoich ognisk domowych.

W epoce, gdy twórca organizacji wojskowej w Macedonji ukazał się na scenie, ten prawdziwy wzór rekrutowania wywarł wpływ szkodliwy na upadek obyczajów i osłabienie charakterów.

„W Atenach, powiedział Grote, i w większej części innych prowincyj greckich, obywatele byli przeciwni służbie wojennej, z natury już twardej i wymagającej ciągłej czynności. Zwyczaj odbywania służby w uzbrojeniu należał tylko do żołnierzy z powołania, służących wszędzie, gdzie tylko im żołd dobry ofiarowano. Armja Aleksandra liczyła 5,000 najemnych żołdowników. W armji zaś perskiej pod Issusem, podług historyka Grote'a, było ich od 20, do 30,000. Armje rzeczypospolitej rzymskiej były na stopie podobnej do armij greckich, w pierwszych czasach swego istnienia, zorganizowane i utrzymane bez żadnych osobistych przywilejów.

Przed Marjuszem w służbie wojskowej znajdowali się li tylko ludzie swobodni; armja zatem rzymska składała się z najbogatszych obywateli, najukształceńszych i najwięcej oddanych sprawom ojczystym. W przekonaniu prawodawcy rzymskiego: „majątek i własność były najlepszemi zakładnikami, najlepszą pewnością dla rzeczypospolitej, oraz fundamentem najbezpieczniejszym miłości ojczyzny".

Na zasadzie konskrypcji tworzone armje rzymskie, stosunkowo do ludności swojej nie były nigdy liczniejsze od greckich, lecz przymioty osobiste żołnierzy, wyższość nauki, lepsze uzbrojenia i dokładność komendy wybornej, były wystarczające do odnoszenia świetnych zwycięstw nad nieokrzesanemi i niekarnemi masami barbarzyńców.

W roku 346 przed Chr., gdy Rzym rozpoczął na dobre już zwyciężać, by potem panować nad całym światem, Rzymianie nie wystawili liczebnie większej siły nad 45,000 bohaterów.

„Naród ten, powiedział Montesquieu, zajaśniał, a jego armja zdobyła swą wartość tym sposobem, że żołnierze ją składający nie pochodzili z klasy przymuszonej do poświęcenia swej wolności, dla zapewnienia sobie utrzymania."

Marjusz nadwerężył ducha arystokratycznego legjonów rzymskich, wprowadzając do nich ludzi biednych i niewolników wyzwolonych, od których armja przejęła się ich zwyczajami nieporządku i anarchji.

Generał Bardin dowodzi, że po bitwie pod Kannami wyzwolenie niewolników, za pośrednictwem pociągania ich do wojska, było koniecznością. Aż do tego czasu działo się to wyjątkowo, Marjusz z tego zrobił prawo Aż do tej zatem chwili służba wojskowa uważaną była, nie jako obowiązek, lecz jako zadośćuczynienie prawu, ze strony wolnego obywatela. To zepsucie milicji rzymskiej, w rezultacie stało się przerobieniem armji na niebezpieczne narzędzie. Fakta tego dowiodły, gdyż widziano później armje, walczące za Cezara, lub w sprawie Pompejusza, bijące się na znak Antonjusza, lub walczące za Brutusa.

Skoro August, wstąpiwszy na tron, znalazł narzędzie zepsute, osądził jako rzecz konieczną wszystko przeinaczyć, a przedewszystkiem postanowić organizację stałej armji, ze służbą obowiązkową. Ta, podług prawa, trwać miała lat dwanaście w zwyczajnej piechocie, a w legjach z początku lat szesnaście, potem aż dwadzieścia. W kawalerji służba trwała tylko lat dziesięć.

Zamiast obowiązkowych dwudziestu kampanij, legjonista zmuszony był do dwudziestoletniej służby czynnej, to jest dwadzieścia lat musiał przeżyć w tak nazwanych rzymskich koszarach.

Niestety! August, w obawie, by lud nie powstał przeciw jego despotyzmowi, usunął z legjonów obywateli rzymskich i mieścił w nich wziętych z prowincji do wojska, albo żebraków miejskich. Były to środki wcale nieodpowiednie i w skutkach swych smutne, za które cała odpowiedzialność spada na doradcę cesarza, Mecena.

Dion Cassius dowodzi, że ten znakomity ulubieniec cesarski w celu uniknienia wojny domowej, doradził panu swemu rozbrojenie obywateli i robienie zaciągów do armji z części najsilniejszej i najędrniejszej w narodzie, którą nędza zmusiła do życia rozbójniczego.

Armja regularna wtedy przestała być już armją narodową i uległa całkowitemu przeobrażeniu, o tyle nawet szybciej, o ile po śmierci Augusta zaciągi wojskowe czyniono po największej części z prowincyj pobitych, tj. nierzymskich.

Tacyt pisze: „Cesarz Tyberjusz żalił się, że w czasie panowania swego nie znalazł już innych żołnierzy — ochotników, prócz samych nędzników i włóczęgów".

Wkrótce też z tej przyczyny uwidoczniły się niemałe straty, najdotkliwsze w taktyce wojskowej. Pod panowaniem cesarzów nic nie pozostało ze świetnych pomysłów i pożytecznych reform Scypiona, Marjusza, Sylli i Cezara.

Od owego czasu rozpoczęło się niesłychane w armji rzymskiej rozprężenie. Żołnierze przeważnie odznaczali się najzupełniejszą ciemnotą, byli przytem nikczemni i dopuszczali się kradzieży i rozbojów. Służba wojskowa stała się wstrętną dla ludzi uczciwych. Doszło aż do tego, że bardzo wielu obywateli, ażeby uwolnić swe dzieci od tej służby, dopuszczało się zbrodni, kalecząc własnych swych synów.

Władze rządowe, dla zapobieżenia ucieczkom z wojska, były zmuszone do piętnowania żołnierzy na czołach lub rękach, dla łatwiejszego wynalezienia przestępców.

Od czasów Konstantyna zaciągano do armji rzymskiej Gotów, Wandalów, Sarmatów, oraz innych barbarzyńców. To był już ostatni stopień chylenia się armji do upadku.

Skoro w 406 r. 250,000 Sarmatów, Ostrogotów i Germanów północnych, pod dowództwem Radagaisa, napadło Włochy, cesarstwo rzymskie zaledwie postawić mogło 40,000 żołnierzy, którym przybyło na pomoc 30,000 Gotów, Hunów i innych hord pod dowództwem Stylicona. Pomimo dziesiękroć przeważnej liczby, hordy barbarzyńskie, dzięki armji regularnej i stałej, zostały zwyciężone, rozbite i w części rozproszone, a w części zabrane do niewoli. Niestety! to było już ostatnie powodzenie orłów rzymskich. Wkrótce potem rozprężenie wewnętrzne osłabiło do tego stopnia karność wojskową, że barbarzyńcy naszli kraj na nowo, zalali go i spustoszyli.

Wyższość wojska regularnego, stałego, nad armjami czasowemi barbarzyńców niejednokrotnie była dowiedzioną. Wiadomo, że zwycięzca Gallów, w chwili wdarcia się swego do Belgji, znajdował się prawie otoczony koalicją, złożoną z ludów na północy mieszkających, których siły pod dowództwem Galby zebrane, dochodziły do 300,000 ludzi. Do postawienia im czoła posiadał tylko 24,000 legjonistów — i siła ta wystarczyła mu nietylko do pobicia wszystkich nieprzyjaciół Rzymu nad Renem zgromadzonych, lecz nadto okazała się dostateczną do utrzymania w uszanowaniu zbrojnych tłumów, znajdujących się po drugiej stronie Renu. W czasie siódmej wyprawy Gallów w r. 52 Vercingetorix wódz armji złożonej z Celtów, pierzchnął aż do Alezji z 80,000 piechoty i 15,000 kawalerji.

Cezar naszedł ziemię celtycką z całą swą siłą, wynoszącą zaledwie 40,000 ludzi. Wtedy wódz Vercingetorix powołał pod broń cały naród. W ciągu miesiąca jednego zebrało się 450,000 pieszych i 80,000 jazdy.

Armja celtycka po pierwszem natarciu na legjony rzymskie zupełnie upadła na duchu, a następnie opuściła haniebnie pole bitwy. Wkrótce potem Alezja, pozostawiona własnym siłom, dostała się w ręce Cezara.

Największa armja Rzeczypospolitej rzymskiej nigdy nie przechodziła liczby 83,000 ludzi. Armja, którą dowodził konsul Paweł Emiliusz i Varron, w bitwie pod Kannami, wynosiła 75,000 piechoty i 72,000 konnicy.

Za czasów Augusta siły wojskowe cesarstwa wynosiły do 150,800 ludzi w środku jego panowania, a w końcu doszły do 197,000 ludzi.

Podług świadectwa Montveran'a cesarz August miał 24 legjonów stanowiących liczebnie 164,000 ludzi, którą to armję znacznie później powiększył wzięciem na żołd zrekrutowanych do

wojska barbarzyńców, przeznaczonych do strzeżenia granic cesarstwa.

Za czasów Adrjana (r. 120) armja rzymska wynosiła 200,000 piechoty i 40.000 kawalerji, 200 wozów i 300 słoni.

Za panowania Konstantyna rzeczywista siła wojskowa przechodziła 450,000 ludzi (320 r.).

Tak więc, w miarę jak wartość wojsk ulegała zmianom na niekorzyść, ich liczba się powiększała, a powodzenia w boju okazywały się coraz rzadsze i coraz bardziej wątpliwe.

Od czasów Augusta aż do Konstantyna, obrona granic Renu wymagała tylko ośmiu legjonów, czyli 48,000 ludzi. Legjony te leżały obozem pomiędzy Kolonją a Moguncją.

W Galicji 1,200 ludzi wystarczyło do okiełzania całego kraju, jak dowodzi historyk Sismondi, a maximum sił armji czynnej, wymaganej od senatu dla utrzymania w posłuszeństwie i zależności całego świata, wówczas znanego, nie przechodziło nigdy 100.000 ludzi.

Historja Grecji, Rzymu i wszystkich państw, odgrywających w świecie ważne role, daje dowody, że w ślad za upadkiem obyczajów i poniżeniem charakteru, idzie zawsze upadek armji, do której wchodzą już żywioły nieczyste, chciwe zysków, przyzwyczajone do nieporządku i niezgodnego z honorem wojskowym postępowania.

Swoją drogą upadek moralny armji oddziaływa zawsze na system polityczny, bo od niego rozpoczyna się epoka wewnętrznych zaburzeń i wojen domowych, sprowadzających w następstwie despotyzm, jednem słowem panowanie pretorjańskie.

Po upadku cesarstwa rzymskiego służba główna i obowiązkowa ustąpiła zwolna przed zwyczajem poboru zależącego na podległości, jakby naprzykład klijenta względem swego patrona, jakby proszącego względem dobroczyńcy, lub nareszcie służącego względem swego chlebodawcy, pana. Podległość ta wyrodziła służbistość, słowem — niższość służby wojskowej feudalnej, do której z kolei przechodzimy.

(C d. n.)

Szara godzina.

Mrok już zalewa ściany tej komnatki
Kędy zasiadło ciche nasze grono;
Ledwo twarz dojrzę bladą twojej matki
W cieniach kanapki całą zagłębioną.

Siwy włos ojca zasrebrzy się chwilę,
Lub twej siostrzyczki główka strojna złotem,
Na piersiach ojca utulona mile,
Ptasim, półsennym ozwie się szczebiotem.

Widzę twą postać owiniętą w cieniu
Między kwiatami, białą w okna niży;
I mam to dziwnie urocze złudzenie,
Że wzrok cię do mnie przysuwa wciąż bliżej!

Ze ścian, złotemi zczerniałemi ramy
Błysną obrazy.. albo z tła ich, w bieli —
Jak widmo z jakiejś czarodziejskiej dramy
Niejasnym kształtem postać która strzeli..

Mrok form dziwacznych wszystkiemu użycza,
Zegar tykocze — mruczy kot domowy,
Harmonja ciszy spływa tajemnicza
Na nas gwarzących serdecznemi słowy...

O szczęściu gwarzym — i w blaskach wspaniałą
Widzimy przyszłość... Twoja matka wzdycha,
Ty chylisz głowę... a dłoń moja z cicha
Szuka i tuli twoją rękę białą...

Łagodnym ojciec odpowiada śmiechem,
Na obraz raju przez nas wymarzony!
A czujne twego fortepjanu struny
Melancholijnem dziwnie dźwiękły echem!

Powoli milknie ogólna rozmowa:
My tylko szepcem drżącemi ustami,
A anioł szarej godziny nad nami
Lecący — niesie przysiąg wrzące słowa.

Z ogrodu wieją ku nam kwiatów wonie,
Z ulic dochodzi tłumu gwar wieczorny;
I tęskno bije w dali dzwon nieszporny,
I niebo zwolna staje w gwiazd koronie
Złączone nasze błogosławiąc dłonie...

Kędyż te chwile?... Jednak czas — ruina
Nadziei — czaru wspomnień nie umniejsza!
I w mej pamięci — ta szara godzina
Z wszystkich przeżytych godzin — najjaśniejsza!

1876. *Władysław Ordon.*

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom drugi.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

Woły świętej Trójcy.

Bezwzględna swoboda nieograniczonej przestrzeni, orzeźwiające usposobienie jakiem zdawało się przejmować promieniejące słońce, wzruszenie sprawione walką z rozhukanym wichrem, do którego przezwyciężenia potrzeba było niemałej siły fizycznej, tak oddziałały na Artura, iż w niewielu chwilach znikł tajemniczy urok, jaki rancho pod św. Trójcą zdawał się na umysł jego wywierać.

Krajobraz, który dotąd wydawał mu się jednostajnym i bezdusznym, teraz nagle stał się zajmującym. W niskich do kopuł kościelnych podobnych wzgórzach, natłoczonych do koła jakby bańki wydęte gorącem tchnieniem dawno wygasłego wulkanu, zdawało mu się, że widzi pierwociny architektury misjonarskiej. W długich pasmach przestronnej równiny upatrywał spokojne bez wydarzeń życie, które znalazło swój wyraz w cierpliwie poważnem usposobieniu ludu. W rozpalonym i niespokojnym wichrze, który tak wytrwale i zawzięcie wygładzał płaszczyznę, że starł wszystkie nierówności wąskiego pasa karłowatych wierzb rosnących nad brzegiem błotnistego strumyka, widział on rys własnego swego wytrwałego i niezmęczonego plemienia. I nie dziwił się więcej ospałości wszelkiego życia, jakie przedstawiało się wzrokowi tego, kto nogę na tej równinie postawił. Ale tu zatrzymał się bieg jego myśli. Był gniewny, i jeżeli mamy prawdę powiedzieć, w pewnym stopniu zaniepokojony, z powodu wytrwałej uporczywości, z jaką donna Dolores usiłowała przeniknąć jego zasady i nastrojenie umysłu.

Być może, iż była inna jeszcze przyczyna, która na chwilę umysł jego od pięknej damy odtrącała. Podczas szybkiej swej przechadzki spoglądał on na ogromne stada wołów, wałęsające się bez planu i celu, jak na przypadkowy, wcale na dalszą uwagę nie zasługujący rys charakterystyczny ponurego krajobrazu. Teraz w myśli jego powstało nowe zupełnie i jasne wrażenie, a mianowicie, że stada już nie samopas i nie bez planu się błąkają, lecz że w rzeczywistości powolne są jakiemuś ogólnemu prawu atrakcji, poruszają się ze świadomością ku określonemu przedmiotowi. Tym zaś przedmiotem był on sam.

Gdzie tylko zwrócił oczy, przed siebie, poza siebie, na obie strony, od północy, wschodu, południa i zachodu, z nagich szczytów wzgórków, z pochyłości ich przez wyschły strumień, ze wsząd w dośrodkowych linjach powoli ruszały się stada ku jednemu punktowi — ku niemu samemu.

Pomimo, że szedł prędko i jasno wiedział co robi, widocznie jednak był jedynym niezmiennym, stałym i określonym punktem. Wszystko co tylko poruszało się na uspionej, zamarłej płaszczyźnie, w powolnym, nie przepartym i mimowolnym ale łatwym do zrozumienia ruchu, zmierzało ku jednemu punktowi środkowemu — ku niemu samemu. Sam i bez żadnej obrony znalazł się on mimowolnym centralnym punktem względem coraz bardziej skupiającej się w ogromnych rozmiarach siły.

Z poczytku była to śmieszne i zabawne; potem malownicze; potem poczęło pod pewnym względem zasługiwać na praktyczną uwagę. Nakoniec... ale nie!... z nagłym i nie omylnym instynktem silnej woli odrzucił on najbliższą nasuwającą się mu myśl, nim ta jeszcze poczęła się rozwijać i siły jego osłabiać. Powtrzymał pochód swój naprzód i zawrócił. Rancho pod św. Trójcą znikło! Czy nagle zapadło się w ziemię? czy też on sam zmylił z drogi? Ani jedno ani drugie, poprostu przekroczył lekkie wzniesienie i prawie o dwie mile oddalił się od rancha.

Nie to jedno tylko zastanawiało go i jak piorun błysło przed oczyma. Tę samą tajemniczą siłę pociągającą zużytkował on w kierunku przeciwnym, a gdy się odwrócił — ujrzał w odległości stu sążni przed sobą wytrzeszczone oczy więcej aniżeli stu wołów. Gdy utkwił w nich wzrok z całą mocą, przedni wół odwrócił się, następny poszedł za tym przykładem, dalszy toż samo. Zdaleka widział on te manewra wykonywane z wojskową precyzją.

Z uczuciem ulgi, przyspieszył kroku, aż dopóki przednie woły nie poczęły biedz wolnym kłusem, tak, że całe stado wkrótce wydało mu się jakby ogromnem odpływającem morzem.

Biegł ciągle naprzód, aż dopóki nie został pochwycony przez obłok piasku zaciemniający całą przestrzeń, spowodowany tententem kopyt kłusującej przed nim masy, co go zmusiło do zatrzymania się.

Tępy łoskot na całej przestrzeni, który w pierwszej chwili można było poczytać za huk towarzyszący trzęsieniu ziemi, teraz tak się wzmógł, że znowu spojrzał po za siebie. Nie dalej jak o dwadzieścia sążni za nim toczył się przedni wał innego bezbrzeżnego morza najeżonych rogów. Był otoczony.

Woły na przodzie będące tak się blisko do niego podsunęły, iż mógł rozróżnić każdego pojedyńczo. Nie były one ani wielkie, ani silne, ani rozhukane. Owszem, były małe, wychudłe, trwożliwe.

Gdy z krzykiem rzucił się na nich, zawróciły, tak samo jak i poprzednie, szeregami i pochwili tak samo były w pełnym odwrocie. Lub raczej zrobiły odwrót tak samo, jak to uczyniły poprzednie; gdyż jak tylko znowu zamierzył biedz dalej ku misji, znowu ujrzał przed sobą garby i rogi, które tylko co niedawno odpędził. Zużytkowały one chwilę dywersji jego przeciw nadbiega-

jącemu innemu oddziałowi i znowu w kłusie front ich zbliżył się ku niemu.

Prędko zrozumiał Artur nieunikniony rezultat swego położenia i wszelki brak nadziei. Niechybnie nastąpić mający koniec tego wszystkiego był już tylko kwestją czasu — bardzo krótkiego czasu. Czy wystarczy mu on, by dostać się do domu? Nie! Czy było możebnem dosięgnąć do *corralu?* Być może. Między nim a *corralem* znajdowało się już około tysiąca wołów. Jeżeli wystąpi przeciw nim, czy będą znowu cofać się? Być może. Ale czy tym czasem nie będzie on dognany przez te, które pozostaną w tyle — i stratowany?

Odpowiedział sobie na to pytanie tem, że jedyną broń jaką miał, niewielką krucicę, wyjął z kieszeni i skierował na przedniego wołu. Strzał trafił zwierzę w łopatkę, wół padł na przednie nogi. Jak się tego Artur spodziewał, najbliżsi jego towarzysze zatrzymali się i poczęli obwąchiwać ranionego. Ale czego Artur nie spodziewał się, to że dzicz z tyłu tłocząca się masą, wpadła na zranionego brata, i w następnej chwili nieszczęśliwe zwierzę, obalone i stratowane, zginęło pod kopytami.

Ze straszliwem przeczuciem losu, jaki jego samego oczekiwał, Artur popędził w kierunku corralu. A biegnąc, doszedł do przekonania, że tym sposobem przyspiesza tylko katastrofę — lecz nie był w stanie wynaleźć coś lepszego. Gdy biegł czuł drżenie gruntu pod nogami, gdyż całe stado w dzikim pędzie gnało za nim; ale myślał tylko o straszliwym losie, który go czekał, i myśl ta dodawała mu siły do szalonych wytężeń.

Starałem się wykazać czytelnikowi, że Artur nie był wcale dostępny słabości, którą ludzie poczytują za fizyczne tchórzostwo. W obronie tego co poczytywał za prawdę wyrozumowaną, lub gdy zainteresowaną była jego duma, lub samolubstwo, lub w chwili roznamiętnienia — on z zimną krwią i mężnie stawiłby czoło śmierci. Ale być ofiarą przypadkowego trafu, nie mogąc nic przeciwstawić, być do śmierci znękanym przez szalone bestje, którym nawet popęd zemsty nie był znany; umrzeć śmiercią, która w swoim rodzaju śmieszną była — wszystkie te myśli tak ostro, gwałtownie i przykro opanowały go, że dumna inteligentna istota, teraz szalenie biegnąca, mogła być poczytaną za najnikczemniejszego tchórza podającego tył niebezpieczeństwu. A na dobitek opanowało go jakieś przesądne uczucie, co go do najwyższego stopnia gniewało — przyszło mu na myśl, że jestto słuszna pokuta, kara za to o czem nie ośmielał się myśleć.

Wtem nagle osłabły mu siły, w głowie poczęło mięszać się. Oddech wraz z biciem serca, powstrzymał się — i całkiem mu go zabrakło. Wśród odgłosu kopyt, tętniących po za nim, wydało mu się, że słyszy głos kobiety. Teraz pojął, że stoi na punkcie utracenia przytomności; krzyknął dziko i padł; potem zerwał się zrobił kilka kroków naprzód — i padł znowu. Teraz wszystko się skończyło! Nagle zaleciał go ostry jakiś zapach, potem gryzący usta i oczy piasek z równiny — potem zemdlał. Nastąpiła dobroczynna nieczułość... spokój...

Znowu zerwał się, gdy wyraz „Filipie!“ zadźwięczał mu w uszach, zerwał się z uczuciem pewnego wysilenia, by uczynić coś, czego od niego żądano... Znalazł się leżącym w suchem korycie rzeki; na brzegu stał koń, a nad nim samym była pochylona ciemna twarz i jeszcze ciemniejsze oczy donny Dolores.

— Staraj się pan zebrać tyle sił, byś mógł wsiąść na konia, rzekła po chwili.

Z wrodzoną każdemu mężczyźnie obawą okazania swej słabości przed płcią słabszą, Artur zebrał wszystkie swe siły, ażeby powstać bez pomocy wyciągniętej ku sobie małej rączki. Ale nawet i w tej chwili, obawiam się, że posłużył się on nią cokolwiek — by uścisnąć.

— Czyś pani sama jedna przybyła mi na pomoc? zapytał, gdy po gwałtownych wysileniach udało mu się podnieść.

— Dlaczegożby nie? Teraz kwita między nami, don Arturo, dodała z czarującym uśmiechem donna Dolores. Widziałam pana z mego okna. Pan byłeś nieostrożny — przebacz mi pan — szalony! Najstarszy vaquero nie odważa się zrobić kroku na tej równinie. Ale chodź pan, pojedziesz ze mną na moim koniu. Nie było czasu do osiodłania drugiego, a przytem pomyślałam, że pan nie byłbyś rad, gdyby kto inny wiedział o jego przygodzie. Czy mam słuszność?

Maleńki dołeczek w policzkach i szczególny połysk ciemnych oczu znamionowały pustotę, gdy pytająco wzrok na Artura zwróciła.

Wziął jej rękę i z szacunkiem do ust przycisnął.

— Pani, jesteś o tyle rozsądną o ile szlachetną, powiedział.

— Zobaczymy. Ale na ten raz zrobisz jak mówię. Wsiądź na konia — ja panu dopomogę jeżeli jesteś słaby... i zostaw mi trochę miejsca poza sobą.

Wezwany w ten sposób, wskoczył Artur na siodło. Gdyby członki jego były nawet połamane, zamiast że je tylko nadwerężył, znalazłby on dość siły do tego. W następnej chwili mała nóżka dotknęła jego nogi, a potem donna Dolores zręcznie umieściła się za nim.

— Teraz do domu, rzekła — a spieszmy, ażebyśmy tam stanęli nim ktokolwiek czegoś domyśli się, — poczem jedną ręką objęła go w pół.

Artur puścił cugle i ostrogami ścisnął konia. W pięć minut — najkrótszych jakie zdawało mu się, że przeżył — znaleźli się znowu wśród rancho pod św. Trójcą. (C. d. n.)

NINA.

Obrazek z życia

przez

Zofję R.

(*Ciąg dalszy.*)

„29 czerwca 186*

Droga moja!

Widzę z twej odpowiedzi na ostatni list mój, że źle zrozumiałaś go. Możesz być zupełnie spokojną; on zrażony do kobiet, lękający się uczucia i nie wierzący w nie, ja szańcami uwielbienia i czci dla mego męża otoczona,—możemy bez niebezpieczeństwa być przyjaciołmi. Siedź w domu i pielęgnuj chorą Manię, której żal mi serdecznie, że przechodzi biedactwo tak ciężką chorobę jak szkarlatyna. Byłoby to dla mnie niesłychanem zmartwieniem i wymówką, gdybyś zostawiła cierpiące dziecię na opiece bony, a jechała do mnie, zaręczam ci najzdrowszej fizycznie i moralnie.

Wiesz Milu, że tym wiecznym niepokojem, jaki nieustannie trapi cię o mnie, doprowadzisz do tego, że przestanę być szczerą z tobą. Jakże można tak z każdego słówka bez głębszej myśli powiedzianego lub napisanego, wyciągać jakieś wnioski i konsekwencje!

Przed paru dniami opowiedział mi Juliusz całą smutną przygodę swego przyjaciela. Tak się był przy tem poruszył, tak rozrzewnił, że dobra chwila minęła, nim się uspokoił i przyszedł do siebie. Co to za kochające serce u tego człowieka! Jaktoby jakaś kobieta szczęśliwą być mogła, pozyskawszy je!

Moja droga, tylko zaraz nie wpadaj na domysł, że ja to mówię z myślą o sobie. Ach! cóż to był za potwór ta kobieta, która tak wpłynęła na losy tych dwóch ludzi, przyprawiwszy tamtego o śmierć, a tego o rozczarowanie!

O kilka lat starsza, bałamuciła młodego chłopca, sama wciągnęła go w romans, a potem najhaniebniej dla drugiego zdradziła!

Biedny Juljusz, żal mi go, gdy pomyślę, jak on to przejście odcierpiał głęboko i jak dotąd cierpi! Dojrzał szczerego współczucia we mnie, i tak mi dziękował czule, tak serdecznie! Powiedział, że czuje ulgę na sercu otworzywszy je tak po przyjacielsku. O moja Milu! co to za rozkosz, w takim człowieku jak Juliusz mieć przyjaciela! Ale wierzaj mi Milu, że t y l k o przyjaciela! Ale przyjaciela na całe życie! Tak przywykłam do bezwzględnej otwartości z tobą, że zdaje mi się, że gdybym popełniła najcięższy grzech, bez wahania wyznałabym ci go! I tak ci się wiernie, a nawet jaskrawo fotografuję w każdym liście, że już ty sama na domysł nie dodawaj ani jednego rysu.

Bądź zdrowa i spokojna. Mąż mój i syn, który dziś pierwsze „tata“ wymówił, rączki twoje całują. Kochaj i ufaj twojej

Ninie.“

„20 lipca 186*

Dziś odebrałam już drugi list twój! Biedna Mania, dotąd nie opuszcza łóżka, cóż to za ciężka choroba, szczęściem że nie jest konieczna jak inne choroby dziecinne, gdyż troskałabym się już o mego malca, że musiałby ją kiedyś przechodzić. Pytasz, dlaczego nie miałaś tak dawno wiadomości odemnie. Życie nasze tak płynie jednostajnie, tak spokojnie, że nie dostarcza nawet treści do listu. Wczoraj była pani Tomaszowa, ze łzami wdzięczności mówiła o Konstantym jako o swoim wybawcy, jak o aniele opiekuńczym!

Istotnie w tym człowieku jest coś anielskiego! Największej pracy, największego trudu nie szczędzi dla drugich, i powiada jeszcze, że to on powinien być wdzięcznym, że mu dano sposobność usłużenia, zrobienia czegoś pożytecznego!

Moja Milu, w dzisiejszym liście musisz się zadowolić tylko wiadomością, żeśmy wszyscy zdrowi, i że nic nowego nie wydarzyło się u nas; nie jestem w usposobieniu do pisania, niesłychanem gorącem czuję się zmęczona. Mały mój, zapewne na ząbki, przez dwie nocy spał niespokojnie, wstawałam do niego i to mnie rozstroiło, bardzo jestem rozstrojona i nie swoja, ale to przejdzie.

Dla niesłychanych upałów i dla dojrzewającego zboża, roboty inżynierskie w polu zostały zawieszone, z czego bardzo rada jestem, obawiałam się tych upałów dla pana Juljusza, często cierpiącego na głowę. Teraz wypracowuje plan młyna parowego.

Bądź zdrowa droga moja Milu, wkrótce może napiszę obszerniej. Twoja Nina.“

„20go sierpnia 186*

Miła droga! Skarżysz się na rzadkie i krótkie listy, czy myślisz, że cię mniej kocham? Nie najdroższa, lecz mam wiele zajęcia domowego, a przytem mały mój ciągle potrochę niezdrów i kaprysi, i po prostu nie mam czasu. I teraz tylko dla tego piszę tę kartkę, aby ci powiedzieć, że cię tak samo, nie, stokroć więcej kocham niż kiedy. Twoja

Nina.“

Nina pisała do siostry: „Gdybym najcięższy grzech popełniła, wyznała bym przed tobą.“ Nie popełniła jeszcze grzechu, ale stanęła na ścieżce wiodącej do niego, a już serce swoje zamknęła przed nią!

Niebaczna, dla rozrywki i próżnej chluby, by módz powiedzieć: oto i ten kochał się we mnie, wyzywała uczucie, którego nie znała. Bezbronna zbyteczną ufnością w sobie, ocknęła się już w więzach jego!

W prześliczny dzień sierpniowy, w dzień Św. Ludwika zebrało się liczne towarzystwo u państwa Ludwikostwa Z. Imieniny te obchodzono zawsze bardzo hucznie. Na parę miesięcy naprzód młodzież cieszyła się miłą zabawą, jakiej tam użyje. Państwo Ludwikostwo spraszając gości wymieniali zwykle zabawy, jakie poprzedzą tańce wieczorne, z powodu by panie mogły przygotować stosowne stroje. W tym roku układano konną przejażdżkę, wszystkie więc młode panie jeżdżące na koniu, prócz balowych toalet, zabierały ze sobą amazonki, kapelusiki i szpicruzgi.

Nina śmiało i odważnie jeździła na koniu, lecz mąż nie pozwalał na innym, tylko na umyślnie ujeżdżonej dla niej klaczce angielskiej Ledy, z obawy wypadku. Dniem więc przed św. Ludwikiem, Ledy poszła do państwa Z.

Nina obiecywała sobie wiele przyjemności z tego rodzaju zabawy. Juliusz sławnym był jeźdźcem.

Dziecię było już zdrowe i sypiało po nocach, a niepokój i rozstrojenie nie opuszczały jej; wmawiała w siebie, że gdy się rozerwie, uspokoi się — chciała się uspokoić.

Dzień św. Ludwika zawitał piękny i pogodny. O południu zaczęto się zjeżdżać do państwa Z. Dalsi przybywali na objad, amatorowie kart przeczuwając, że da się już złożyć partyjka, również nie chcieli tracić drogiego czasu.

Koło czwartej już powóz za powozem zataczał się przed ganek gościnnego domu. Salon był napełniony postrojonemi paniami i panami. Już rozmowy pozawiązywano, pary i kółka potworzono, gdyż za liczne było towarzystwo, aby jedną rozmową bawić się, i jedno koło tworzyć mogło.

Dwie panie nie pierwszej już młodości, ale jeszcze i nie stare, pani Hortenzja i pani Zenobja chodziły po salonie i pół głosem rozmawiały. Skrytykowały prawie wszystkie stroje, obmówiły z pół tuzina przyjaciółek, opowiedziały sobie nawzajem z wielką przyjemnością kilka skandalików, i zaczynał się już temat do rozmowy wyczerpywać, gdyż z głowy ni z serca zaczerpnąć nie mogły, gdy powóz państwa Konstantostwa zajechał przed ganek. Pani Hortenzja w pół kroku pochód przerwała, a przykładając z pospiechem lornetkę do przymrużonych oczu, i wyciągając trochę głowę dla lepszego przejrzenia się rzeczy, której widocznie bardzo była ciekawą, zawołała z wielką radością:

— Voilà! tak ja mówiłam, przywieźli go z sobą w powozie, ja ci powiadam ma chère Zenobie że nigdy nie mylę się w takich rzeczach, mam ja oko wprawne, za ostatnią bytnością u nich, dośledziłam, że państwo mają się ku sobie.

— Ależ chère Hortense, mówiłaś mi przecie przed chwilą, że podczas twej bytności, pan Juljusz był nie obecny, jakżeś mogła coś dośledzić? Chyba uważałaś już jakieś nieporozumienie w małżeństwie? podała pani Zenobja.

— Ale gdzie tam! Kochany Kostuś ślepy i głuchy! i rogi mu przypną i osiodłają go, a on się niczego nie domyśli.

— A cóżeś dośledziła? Dites donc ma chère — niecierpliwie pytała pani Zenobja.

— To moja tajemnica, c'est mon secret.

— Ma chère! dites le moi, ja nikomu nie powtórzę, słowo ci daję.

Panią Zenobję aż piekło, tak chciała się dowiedzieć tego czego istotnie pani Hortenzja nie wiedziała. Były to najbliższe sąsiadki i przyjaciółki Niny.

Pani Hortenzja była by się może ulitowała nad tem pragnieniem duszy chrześcijańskiej, i dla ochłody jej, wytworzyła w płodnej w tym kierunku fantazji jakiś fakt lub fakcik obciążający Ninę, lecz drzwi salonu w tej chwili otwarły się, i ona sama weszła świetna i piękna, strojem i wdziękami.

— A ma chère! — wykrzyknęła pani Hortenzja spiesząc pierwsza z powitaniem, jakże można było tak długo dać czekać na siebie! Ah, comme tu es belle! cofając się pół kroku, niby dla lepszego obejrzenia jej, z ekstazą zawołała.

— Wyglądałyśmy cię droga Nino niecierpliwie, i czas skracając mówiłyśmy o tobie — ściskając ze słodką czułością jej rękę mówiła pani Zenobja takim głosem sentymentalnym, za którym aż brzmiały pełne fałszu słowa: Gdyż cię tak kochamy!

— Jak się macie moje drogie — witała je Nina — wdzięczna wam jestem, ale gdzież jest gospodyni domu? muszę się z nią przywitać.

Postąpiła ku gronu rozmawiających osób, między któremi ujrzała panią Ludwikowę.

— Ta jak zwykle, półgłosem jeszcze pospieszyła zrobić uwagę pani Hortenzja, wystroiła się bogato a bez gustu.

— W stroju niema gustu, ale w innym kierunku nie odmówisz jej, mówiła powoli pani Zenobja, śledząc już teraz także z lorynetką przy oczach, witających się z towarzystwem Konstantego i Juljusza.

— Patrz jaki on piękny, jakie ruchy eleganckie!

— Savez vous, pochwyciła pani Hortenzja, a mnie mówiła moja bratowa, która doskonale zna jego stosunki rodzinne, że on nawet nie szlachcic.

— Ah! quelle idée, czyż to być może! taka dystynkcja!

— Mais je vous assure, że tak jest.

— Biedna Nina! Ale to darmo, miłość ślepa!

— Ciekawam, czy też Ludwik wiedział o tem, prosząc go na dzisiejszy wieczór.

— O! czyż ty nieznasz Ludwika! U niego przecież z ust nie wychodzi: osobista zasługa, nauka, pracą wyzwolone stanowisko, etc. etc. Wszystko to modne frazesa, w które świat dzisiejszy ubiera się tak, jak my w szych zamiast złota, i tak jak my tanim kosztem świecimy drogiemi kamieniami, tak oni, koryfeusze tych zdań pięknych, tanim kosztem dochodzą do reputacji postępu, popularmości, wyższych pojęć, i tam niewiem jakich jeszcze modnych świecidełek!

— Wiesz? a mnie się czasem zdaje, że ludzie tacy jak Konstanty i Ludwik powinni tylko zyskać sobie miano sprawiedliwych!

— Ha, ha ha! Ha, ha, ha! poczęła z przesadą śmiać się pani Hortenzja, — a to by piękna była sprawiedliwość, gdyby istotnie ktoś tam szlachectwa nawet nie mający, znaczyć miał to samo co każdy z nas, dlatego, że się kiedyś czegoś uczył, — uczył się, gdyż mu to do chleba było potrzebne, a z naszego towarzystwa każdy już na świat przychodzi z osobistą wartością, i gdyby był głupi jak but, passez moi le mot, to znaczenia swego nie traci...

— Oui, vous-avez raison chère amie. Ja też gdy tylko w takim względzie mam jaką wątpliwość, (bo teraz takie tysiące zdań dają się słyszeć, które obałamucają pogląd na stosunki towarzyskie), to wiem, że mi tej wątpliwości nikt tak wyjaśnić nie potrafi, jak ty chère Hortense.

Pani Hortenzja pogłaskana w miłości własnej nadęła się, z godnością przyjmując uznanie swojej wyższości. A chcąc odwdzięczyć się czemś przyjaciółce, nachylając się do niej, gdyż właśnie ktoś przechodził koło nich, szepnęła:

— Czyż to nie widoczne, że jest coś między nimi, patrz jak on jej unika, wszedł między mężczyzn do drugiego pokoju; boją się zdradzić, bo wiedzą, że już nie jedne oczy zwrócone na nich.

— Prawda, wszedł do drugiego pokoju, potwierdziła ten ważny fakt pani Zenobja.

— Ja ci powiadam, że się nigdy nie zawodzę w domysłach tego rodzaju! — Pani Hortenzja ze zbyt licznej praktyki nabrała takiej wprawy.

— Ach! westchnęła miłosiernie pani Zenobja, gdyby się znalazł ktoś taki litościwy i przestrzegł tego poczciwego Konstantego...

W tej chwili nadjechał jeszcze jakiś gość spóźniony, nastąpiły powitania, i poufna pogadanka przerwała się.

Nina od chwili, gdyśmy ją widzieli ostatni raz przy śniadaniu z mężem, zmieniła się do niepoznania: już to nie ta szczęśliwa, śmiała i wyzywająca kobieta, nie ta niewierząca w uczucie! serce jej było przepełnione miłością zalewającą je do głębi! Długo nie zdawała sobie sprawy ze stanu swego, teraz już go znała dokładnie! Wiedziała, że już teraz musi serce swoje rozedrzeć, by wyjść godnie z tego położenia. Tak rozedrze je i zakrwawi, byle serce męża pozostało w spokoju i ufności! Juljusz musi wyjechać, musi opuścić ich dom, ona go już nigdy widzieć nie może, nigdy widzieć nie będzie! Postanowiła kilka razy prosić męża, by wyjazd jego przyspieszył, ale cóż mu powie nieszczęśliwa? Czy sama rzuci ziarno podejrzenia w serce tego ufającego człowieka?

Nie, tego zrobić nie może.

Juljusz nigdy żadnem słowem dotąd nie zdradził uczuć swoich dla niej, a przecież ona wiedziała, że ją kocha nad życie, nad zbawienie swej duszy!

Tak upłynie jeszcze kilka tygodni pobytu jego; tego szczęścia, okupionego ciężką walką, Bóg nawet za grzech im poczytać nie może! A potem rozłączą się na wieki!

Ciężkie staczali walki oboje, by nie wyznać sobie uczucia, które ich tak namiętnie pociągało ku sobie!

— Nie, mówiła Nina, on wie, że go kocham

nad świat cały, nad wszystko w świecie, lecz usłyszeć tego z ust moich nie powinien! I podnosiła wtedy w górę czoło dumne jako najmożniejsza władczyni, władczyni siebie i namiętnej miłości swojej!

— Wprzód umrę, nim wyznam żonie mego przyjaciela, że miłość ku niej wzięła już wszystkie władze duszy mojej, całe moje serce. Jeszcze dni kilkanaście, a wyjadę, opuszczę ich, aby już nigdy więcej nie ujrzeć! Niech ona nigdy nie wie, jak ją kocham! Dla niej, przed nią zaprę się tej miłości!“

Szlachetnie walczyli na każdym kroku, bronili się mężnie pokusie wyznania sobie tych uczuć, gdyż zrozumieli, że wtedy już ani godziny pod jednym dachem być nie powinni, chwila wyznania wzajemnej miłości musi być chwilą rozłączenia!

W takich myślach, w takich uczuciach i postanowieniach byli w dniu św. Ludwika. W salonie roznoszono lody i ciasta, a na dziedzińcu siodłano konie i zaprzęgano powozy. Wycieczka ułożona była do lasu położonego o pół mili od domu, gdzie czekał gości wytworny podwieczorek na malowniczej dolinie, otoczonej odwiecznemi dębami. (C. d. n.)

Listy z Niemiec.

Wiedeń w listopadzie 1876.

(*Ateny i Kapua. — Monument Schillera. — „Zbójcy.“ — Teatra. — Nowe sztuki. — „Damy i Huzary“ na scenie niemieckiej. — Juljusz Roven, Hans Max i Franzos. — „Walkyre.“ — Koncerta. — E. Śmietański. — Kwartet Florentyński. — Odczyty. — Berthold Auerbach. — Podróże Przewalskiego w Mongolii, kraju Tungetów i w puszczach północnego Tybetu.— Monista L. Geiger † — Ady Christen: „Aus dem Leben.“ — Przekład tragedyj Euripidesa. — Krytyka niemiecka o Siemiradzkiego „Żyjących pochodniach Nerona.“ — Inni polscy malarze na wystawie w Künstlerhaus.*)

(*Dokończenie.*)

Temi dniami pojawił się w handlu księgarskim przekład podróży polskiego badacza Azji p. N. Przewalskiego, odbytych w Mongolji, krajach Tungetów i puszczach północnego Tybetu. Niemiecka krytyka przyznaje ogromne zasługi naszemu ziomkowi, i rzeczywiście odkrycia, jakie on w środkowej Azji poczynił, są nader ważne dla umiejętności. Jest to zresztą bardzo ciekawa książka, o której obszerniej wspomnieć wypada.

Pomiędzy podróżnikami, których trudom i usiłowaniom zawdzieczamy nasze wiadomości o Azji centralnej, zdobył sobie Przewalski bez zaprzeczenia pierwsze miejsce. Przez wytrwałość i nadzwyczajne poświęcenie udało mu się dotrzeć do krajów, o których od czasów Marca Pola tylko powierzchowne i niepewne dochodziły nas wiadomości. Tym sposobem należą szerokie ziemie wschodniej azjatyckiej płaszczyzny z północy od granic Syberji do gór Himalaja, od płaszczyzny Pamir do granicy Chińskiej, do krajów prawie nam zupełnie nie znanych. W przeciągu lat trzech przejechał nasz turysta przeszło 11.000 kilom. od granicy rossyjsko chińskiej w głąb krajów nieznanych; osiągnął szczęśliwie właściwy cel podróży, jezioro *Kuku-nor*, bo dotarł jeszcze dalej, aż do rzeki Jank-dse-Kiang, ztąd byłby w dwudziestu siedmiu dniach lekko przybył do Lassy, gdyby — zasoby pieniężne były mu na to pozwoliły. Z rzadką świeżością opisuje Przewalski cały przebieg swej wielkiej podróży; jego opowiadanie nie pozostawia nic do życzenia pod względem świeżości, życia i bystrości w spostrzeżeniach, tak dalece, że czytelnikowi musi się wydawać, jakoby wraz z autorem odbywał tę daleką podróż, jak gdyby wspólnie z nim dzielił trudy podróżowania puszczą, mróz i upał, pragnienie i głód, jak gdyby z nim wespół robił odkrycia i wzbogacał nowemi odkryciami wiedzę ludzką.

Przewalski udał się z Kiachty przez Ungę i Kałgan do Pekingu, ztąd przez mongolską płaszczyznę do Dalai-nor, w czasie tej podróży przebył on pożar stepów i burze piaskowe w puszczach. Z Kałganu dotarł przez In-Schan do żółtej rzeki Hoang-ho ad Dhoan-che. Przez żółtą rzekę przeprawiwszy się szczęśliwie, przeszedł na jej prawym brzegu rozległe stepy krainy Ordos, ztąd do Alaszana, następnie wrócił Przewalski do Pekingu. Tu spoczywał nieco, a przygotowawszy się lepiej puścił się w drugą podróż w góry Kün-lün i do jeziora Kuku-nor. Koryto tego górskiego jeziora nie jest bardzo szerokie. Z wszystkich stron otaczają je strome góry, tylko ku Zachodowi ciągną się słone moczary Tsajdamu. Góry te zowią Chińczycy Nanschan. Znajdują się tu pokłady węgli i złota. Lasy gęste pokrywają szczególnie południowe stoki gór. Z flory górskiej zasługuje na szczególną wzmiankę bujnie tu rosnący *rabarber* (Rheum palmatum), którego przed tem żaden Europejczyk niewidział dziko wyrastającego. Roślina ta dosięga wysokości trzech metrów, ma wielkie ciemnozielone liście i kwiat podobny do szczawiu. Fauna tych gór odznacza się mnóstwem rodzajów ptactwa. Z zwierząt najbardziej upowszechnionym jest długowłosy *Jak*, który jest zwierzęciem domowem. 13 października 1872 dotarł Przewalski nad brzeg ciemno błękitnego jeziora Kuku-nor w kraju koczowniczych Tungetów. Jest to lud przypominający cyganów, a różniący się powierzchownością i charakterem tak od Chińczyków, jako też i od Mongołów. Kuku nor, błękitne jezioro, ma w obwodzie 300 do 400 kilometrów, woda jego jest silnie słona i bardzo burzliwa. Step jeziora leży o 640 metrów wyżej, aniżeli płaszczyzna Zajdam. Ztąd wyruszył Przewalski w kierunku południowo-zachodnim, przeszedł przez góry zwane *Barchan Buddha*, następnie przez drugie pasmo gór zwanych Schuga, sięgających swemi wapnistemi wierzchołkami do regionu śniegu, i dotarł po przebyciu trzeciego pasma gór *Bajanchora-ula* w dniu 10 stycznia 1873 do błękitnej rzeki zwanej przez Chińczyków *Jan-szi-zjan*. Płaszczyzna pomiędzy dwoma ostatniemi pasmami gór ma ogólny charakter puszcz północnego Tybetu. Ziemia składa się z glinki, piasku i krzemienia, i niezdolną jest do żadnej wegetacji. Tylko tu i ówdzie wyrasta pęk trawy i rzadko gdzie żółtawe mchy pokrywają kilkometrową przestrzeń ziemi. Mech jest zwykle, jak gdyby śniegiem, przyprószony solą. Tylko tam, gdzie wytryskują źródła, zieleni się nieco trawa i tworzy małą łączkę, jednak podobne miniaturowe oazy są nadzwyczaj rzadkie i również mają charakter martwej puszczy. Pomimo nieurodzajności i niekorzystnych stosunków klimatycznych obfitują północno-tybetańskie puszcze w zwierzęta. Dziki *Jak*, rodzaj wołów i białe skalne owce zwane *Argali*, przeciągają tu w wielkich stadach. Z powrotem wracał Przewalski przez puszczę Dan-juan-in, i tu o mało co nie postradał życia, podobnie jak jego poczciwy psisko Faust, wierny towarzysz trzyletniej podróży, który zdechł wskutek ogromnych upałów (ziemia była ogrzaną do 60 stopni C) i braku wody.

Ponieważ w puszczy żadnych dróg nie ma, więc zdążał on wprost na północ przez kraj, wobec którego tybetańskie puszcze wydają się błogosławioną ziemią. Ani jednej nie ma tu oazy, ani kropli wody, żadnego życia, tylko ponura, smętna i martwa cisza! W środku tego pustkowia wznoszą się góry *Churcha*, wysokie około 1000 metrów nad puszczą.

Na dniu 19 września 1873 wrócił Przewalski na czele swej nielicznej drożyny szczęśliwie nad granicę chińsko-rossyjską, do Kiachty. O ludach zamieszkujących kraje tych regionów podaje nam turysta bardzo ciekawe szczegóły. O Mongołach powiada on, że są nadzwyczaj ciekawi, i każda drobnostka wydaje im się niezwyczajną rzeczą. Przewalskiego, który dla oznaczenia szerokości geograficznej musiał nieraz robić astronomiczne spostrzeżenia, uważano za czarownika. Dla spokoju udawał on nieraz proroka zapowiadając spadanie gwiazd. Mongoli wynieśli go do rangi świętego. Złodziejstwo kwitnie tu tak, jak nigdzie. Obok tej cnoty są Mongoli ogromnymi tchórzami, tak dalece, że książę Ala-schanu prosił raz Przewalskiego o wypożyczenie mu trzech czapek wojskowych dla przestraszenia nieprzyjaciół!

Żałujemy mocno, że brak miejsca nie pozwala nam przytoczyć jeszcze więcej nader ciekawych i zajmujących szczegółów z opisu podróży naszego ziomka, którego badania i odkrycia stanowią epokę dla umiejętności geograficznej.

Z puszcz tybetańskich przeskakujemy do *monizmu*.

Nie jeden z szanownych czytelników zapyta: co znaczy *monizm?* Otóż w krótkości chcemy znaczenie to objaśnić, zanim przyjdziemy do apostoła tej teorji i jej twórcy, *Geigera*, który z końcem zeszłego miesiąca zmarł w Lipsku.

Monizmem zowie się odrębny systemat filozofji, który stara się złagodzić i pogodzić wieczne kontrasty pomiędzy duchem a ciałem, zapełnić lukę pomiędzy idealizmem a realizmem, i spoić w jednę nierozerwaną całość sprzeczności, zespolić przeciwne teorje. Jest to filozofja przyszłości. Lamarck i Comte we Francji, Darvin i Spencer w Anglji, Robert Mayer, i Häckel w Niemczech, wszyscy oni inklinują do monizmu, chociaż nie są niczem więcej, jak tylko konarami tej teorji filozoficznej. Możnaby uważać Spinozę za właściwego twórcę tego systematu, który dopiero przez Geigera został wykończony.

Pozwolimy sobie, choćby pobieżnie, dotknąć działalności tego wielkiego myśliciela, który postawił filozoficzną tezę: „Wola jest bezpośrednią pewnością, *der Wille ist das unmittelbar Gewisse.*“

Badania Geigera były dwojakie: filozoficzne i filologiczne. Z mowy ludzkiej, z jej właściwości wyprowadzał on swoje teorje filozoficzne i tezy. Jego dzieła „Rozwój ludzkiego rozsądku i mowy“ i „Początek mowy“ uderzają ścisłem, logicznem opracowaniem, tak, że nieraz dziwić się trzeba nadzwyczajnej bystrości umysłowej autora, której nic ujść nie zdołało. Geiger umarł bardzo młodo, bo w sile męskiego wieku w 42 r. życia. Nie jest on jeszcze dostatecznie oceniony, i dlatego można słusznie zwać go filozofem przyszłości. Świat uczony, prędzej lub później, musi uznać prawdziwość jego tez i musi ugiąć się kornie przed prawdą jego systematu.

Znana autorka, pani Ada Christen, napisała cały szereg szkiców powieściowych zatytułowa-

*

nych „Aus dem Leben.“ Są to utwory wielkiej wartości literackiej, prawdziwe arcydzieła jako obrazki rodzajowe. Charakterystyka osób jest wyborna.

W Dreźnie opuściły temi dniami prasę przekłady niemieckie wszystkich tragedyj Euripidesa dokonane przez Fritza i Kocka. Obok filologicznych zalet odznaczają się te tłumaczenia nadto ciepłem poetycznem. Autorowie zwracają uwagę czytelników na wielką trudność, jaka się przedstawia przy tłumaczeniu wierszy greckich, szczególnie na język niemiecki.

Obraz Siemiradzkiego „Żyjące pochodnie Nerona“ wystawiony w tutejszym „Künstlerhaus“ teraz dopiero zaczyna entuzjazmować krytykę i publiczność. Na początku wystawy, chociaż obraz ten przywiózł już ze sobą sławę z Rzymu i z Monachium, napotkał on jako dzieło polskiego mistrza, stronnicze ocenienie. P. Ranzoni, krytyk *Neue freie Presse*, powodując się nienawiścią do Polaków, chwalił tylko to w obrazie, czego w żaden sposób zganić nie mógł, jednak największych jego zalet niepodniósł wcale. Ażeby i temi pochwałami sztuki polskiej nie podnosił, i ażeby ich wrażenie osłabić, chwalił on pędzel Siemiradzkiego na koszt krakowskiego mistrza Matejki, z którym rzeczywiście brutalnie postępował. Wspominamy o tej okoliczności tylko dlatego, ażeby okazać, że pomimo nieprzezwyciężonej nienawiści i stronniczości, pomimo niesłusznych inwektyw Ranzoniego, musiał wreszcie ogół krytyków tutejszych kapitulować przed słonecznym blaskiem sztuki polskiej, i party przez opinję powszechną dziś pełen jest pochwał tak dla Siemiradzkiego, jak i dla Matejki. Dowodzą tego krytyki w illustrowanej Gazecie, w *Heimat*, w *Tagblacie* i we wielu innych dziennikach. Obydwaj mistrze, Siemiradzki i Matejko są reprezentantami jednej szkoły polskiej pomimo różnicy. Obadwaj mistrze uzupełniają się wzajemnie, jednak dotychczas nie tylko Siemiradzki ale w ogóle żaden z żyjących malarzy nie przeszedł Matejki. Prawdziwie Szekspirowska charakterystyka postaci uwiecznionych na płótnach tego mistrza, całość i uroczystość dramatyczna wiejąca z jego utworów, demoniczny efekt, jaki umie on wywoływać kolorami, w końcu nadzwyczajne techniczne wykończenie, to są zalety właściwe jego genjuszowi. U Siemiradzkiego uderza nas przedewszystkiem wielkość samej kompozycji, cudowny koloryt, prawdziwie tęczowa harmonja kolorów, lepsza aniżeli u Matejki perspektywa, malowanie architektury niezrównane, jednak z całości nie wieje tak gwałtownie porywająca dramatyczność jak z niektórych obrazów Matejki. U Matejki występują namiętności ludzkie plastycznie, że się tak wyrazimy, w niezrównanej jego charakterystyce, u Siemiradzkiego Rafaelowski panuje spokój.

Obok arcydzieła Siemiradzkiego znajdują się na wystawie w „Künstlerhaus“ i innych polskich malarzy znakomite obrazy, odbijające od wszystkich innych. Brandt zastąpiony jest bardzo zaszczytnie obrazem: *Wycieczka Bałagułów.* I tu widoczny jest wpływ Matejki, chociaż sposób malowania zupełnie oryginalny. Brandt używa u krytyków wiedeńskich nadzwyczaj przychylnego ocenienia, a p. Ranzoni stawia go jako kolorystę wyżej, aniżeli Matejkę i Siemiradzkiego. Nie chcemy bynajmniej ubliżać wielkiemu talentowi tego znakomitego malarza, jednak w obronie prawdy musimy nazwać powyższe twierdzenie p. Ranzoniego stronniczem i zupełnie bezpodstawnem.

Dwa obrazki rodzajowe Kozakiewicza, jeden przedstawiający podwórze domu żydowskiego, drugi scenę z życia przed chatą wieśniaka, są prawdziwemi cackami, uderzające prawdą, tchnące poezją ludową i swojskim kolorytem. Patrząc na te obrazki, mimowoli przypomina się Syrokomla. Ten żyd wyzierający z okna pierwszego piąterka, te trzy bachorki bawiące się przy studni, zawiesisty żupanowy Polonus, żebraczka, gałganiarz, a tam znowu przed chatą wieśniaka góral-kobziarz przygrywający wiejskim dziewczętom smętne i wesołe piosenki — to są postacie ludowego poematu, żywcem odtworzone z prześlicznych a rzewnych utworów Syrokomli.

Znaleźliśmy na tej wystawie jeszcze jeden polski obraz zasługujący ze wszech miar na wielką pochwałę. Jest pędzla młodego, nie znanego jeszcze artysty, może nawet pierwszy jego utwór. Obraz przedstawia starca tulącego do łona wnuczka. Obraz ten wymalował p. Gottlieb z Drohobycza. Młody artysta musi zadziwić każdego widza niezrównanem technicznem wykończeniem, nadzwyczaj poprawnym rysunkiem i znakomitą charakterystyką. P. Gottlieb przejął się widocznie kierunkiem szkoły Matejki, jednak pojął on jej zalety tak trafnie, i tak niezrównanie umiał pogodzić wpływ mistrza z natchnieniem własnego talentu, że już dziś z wszelką pewnością można młodemu artyście rokować najświetniejsze nadzieje. Uważamy za nasz obowiązek zwrócić uwagę na ten nowy a niepośledni talent.

Gr. S....

TEATR.

(Emigracja chłopska, dramat ludowy w 5 aktach Wł. L. Anczyca.)

W niektórych okolicach Polski, szczególnie w Poznańskiem i zachodniej Galicji, manja emigrowania za Atlantyk, grasująca między naszym ludem, przerodziła się w prawdziwą epidemję. Niebezpieczna ta dla każdego, a szczególniej dla naszego kraju cholera, ustałaby wkrótce, gdyby nie podsycali jej niesumienni ajenci, którym przewóz ludzkiego towaru do Ameryki nastręcza sposobność prędkiego nabycia majątku. Jak we wszystkiem, co złe, dopomagają im w tem najbardziej żydowscy arendarze, pracujący z piekielną wytrwałością i konsekwencją nad wyzuciem naszych wieśniaków z wszelkiego dobytku. Wszyscy ludzie dobrze myślący starają się wedle sił zapobiedz rosnącemu z dniem każdym złemu, a nawet władze rządowe, jakkolwiek nie tak energicznie jak powinne, usiłują zniszczyć tę chorobę, która wyludnia kraj i oddaje ziemię polską w posiadanie wrogich narodowi i niecywilizacyjnych żywiołów. Piekącą tę kwestję, jak sam tytuł sztuki wskazuje, obrał p. Anczyc za temat swego dramatu, który obiegłszy wszystkie polskie teatra, doczekał się wreszcie przedstawienia i na naszej scenie. Już to leży niejako w charakterze ludowych dramatów tendencyjnych, do jakich i „Emigracja“ się liczy, że tendencja, którą się przeprowadzić zamierza, niekorzystnie wpływa na artystyczną wartość sztuki. Łatwo to wytłumaczyć. Autor stawia sobie *a priori* zadanie, udowodnić przykładami na scenie sporne zapatrywania, rysuje sobie naprzód nieruchomy punkt wytyczny i mając go ciągle na oku, dąży do niego statecznie, mniej bacząc na drogę, po której akcję prowadzi. Środki u niego nie odgrywają głównej roli, on baczy tylko na to, aby dojść do swego założenia; nie traktuje sztuki dla sztuki, tylko jako środek do dopięcia praktycznego celu. Od tego błędu wspólnego większej części sztuk tendencyjnych, nie tylko „Emigracja“ nie jest wolną, ale owszem grzeszy nim w wysokim stopniu. W niektórych miejscach wydaje się dramat p. Anczyca jako udramatyzowane kazanie. Bacząc tylko na tendencję zaniedbał autor prawie zupełnie intrygi, bez której żadna sztuka zajmującą być nie może, nie zważał na logiczny rozwój charakterów w dramatycznych sytuacjach, wskutek czego zamiast dramatu dał nam tylko szereg mniej więcej udałych scen, nie związanych ze sobą organicznym węzłem. Jemu to przypisać należy, że „Emigracja“ mimo swoich zalet, o których zaraz pomówimy, nie budzi wielkiego zajęcia. Widz pozostaje zimny i opuszcza salę przedstawień bez głębszego wrażenia. Odwróćmy teraz medal na jaśniejszą stronę. Znakomity talent p. Anczyca malowania ludowych postaci i przenoszenia ich żywcem na scenę, jaśnieje w „Emigracji“ w całej pełni. Wprawdzie tylko dwie figury w tym dramacie występują na plan pierwszy, ale za to oddane są z taką prawdą i tak aż do najmniejszych szczegółów wykończone, że prawie zakrywają sobą wszystkie jego braki. Mówimy tu o arendarzu Mendlu i urlopniku Bartku Kozicy. Postać żyda arendarza zwykle brano u nas ze strony komicznej, a często ją karykaturowano. W „Emigracji“ Mendel jest także komicznym, autor jednak umiał obok tego nadać tej postaci poważne cechy charakteru. Jest to łotr skończony, bez czci i wiary, bez iskierki szlachetniejszego poczucia, a komicznym czyni go tylko żargon żydowski i owa wyrafinowana przebiegłość, cechująca go we wszystkich czynnościach. Bez wątpienia Mendel jest najdokładniejszym kontrfektem arendarza, jaki kiedykolwiek w dziele scenicznem odmalowano; wszystkie cechy charakterystyczne „pijawek naszych włości“ uwidocznione są w Mendlu śmiałemi rysami, ale nie przesadnie. Rodzonym bratem Scepanka z „Chłopów arystokratów“ jest Bartek urlopnik, widocznie obaj w jednym „cugu“ służyli, tylko tamtego prędzej puścili na urlop, a nad tym dłużej w wojsku pracowali, by z niego łotra uczynić. Służba wojskowa wywiera na lud złe i dobre wpływy, ale te pierwsze w każdym razie przeważają. Chłop nasz w wojsku uczy się wprawdzie porządku i nabiera zamiłowania do nieco wygodniejszego życia, traci zaś cnotę, którą z domu wyniósł, traci po większej części poszanowanie prawa, nabiera pogardy do wszystkiego, co swoje, i przyzwyczaja się brać pozory za treść rzeczy. To też wyraz „urlopnik“ znaczy prawie tyle, co łotr wierutny. Statystyka kryminalna wykazuje, że największego procentu zbrodniarzy, należących do stanu włościańskiego, dostarczają urlopnicy. Postać takiego urlopnika byłaby wstrętną do najwyższego stopnia, gdyby nie miała na sobie cech komicznych. Urlopnik taki budzi tak samo komiczne wrażenie, jak dziki Indjanin z piórem na głowie i pierścieniem przez nos przeciągniętym, ubrany w frak i białe rękawiczki. Udaje on wobec swoich współziemian człowieka wyższego od nich, popisuje się kilku niemieckimi wyrazami, których się nauczył w koszarach i prawi łatwowiernym smalone duby. Ograniczony, a przytem zarozumiały, instynktowo przebiegły, zawadyja, a przytem tchórz, takim jest urlopnik ze strony komicznej uważany. W Bartku zespolił p. Anczyc wszystkie wymienione przez nas rysy charakteru i stworzył postać prawdziwie typową. Bartek jest zbrodniarzem, ale mimo to nie jest wstrętnym: on czyni wszystko z zupełnego braku pojęć moralnych, on skończonym zbrodniarzem być nie może, bo jest głupi i posiada tylko zwierzęcą przebiegłość. Autor umiał w tej postaci zachować owo tak pożądane *juste milieu*, wszystkie charakterystyczne rysy pochwycił zręcznie i nigdzie nie przesadził.

Powiedzieliśmy wyżej, że „Emigracja“ jest właściwie obrazem złożonym ze scen mniej więcej udałych. Tutaj wypada nam zanotować, że sceny pojedyncze są powiększej części wyborne, prowadzone żywo i zajmująco. Ruchu na scenie bardzo wiele, djalog żywy i dowcipny. Scena, w której autor przedstawia obchód wigilji Bożego narodzenia w Ameryce, odprawiany staropolskim zwyczajem przez emigrantów-włościan, jest prześliczna, pełna prawdziwego uczucia i poetycznego polotu; licytacja w akcie piątym oddana z realną prawdą, budzi zawsze śmiech komiczny między publicznością. W ogóle wziąwszy „Emigracja“ jako sztuka niedzielna może się jeszcze cieszyć długiem powodzeniem, do którego niezmiernie wiele przyczynia się wyborna gra artystów, szczególnie pp. Fiszera (Mendel) i Zamojskiego (Bartek.) Fenomenalny talent p. Fiszera jaśnieje w roli Mendla w całej pełni. Sposób mówienia, każdy ruch, wszystko u niego na wskróś żydowskie. Rzeczywiście nie poj-

mujemy, żeby tę rolę lepiej grać można. P. Zamojski w rolach krakowskich wieśniaków może współzawodniczyć z p. Fiszerem w rolach żydów. Widocznie studjował w naturze naszych Mazurów i żaden rys charakterystyczny nie uszedł jego oka. Z roli Bartka stworzył on typ, jakiego autor pragnął, jedynie tylko w scenie, w której skruszony kolendą wyznaje swe winy, za mało okazał uczucia. Oprócz tego jednego punktu, z roli swojej zrobił całość skończoną. Inne role drugorzędne oddano wcale starannie, dla niektórych tylko aktorów mowa mazurska przedstawia trudność, której w kilku dniach pokonać nie można. *Mise en scene* nie pozostawia nic do życzenia.

B. Cz.

O potrzebie rozwoju przemysłu małego czyli drobnego w Galicji

napisał

Jan Nep. z Oleksowa Gniewosz.

(Ciąg dalszy.)

Tak garbarstwo jak i białoskórnictwo ma u nas już utorowane drogi, i jest w ręku rzeszy skrzętnej a pracowitej, której jedynie brakuje na oświacie, umożebniającej wyrób surowy wykończyć podług wymogów świata handlowego.

Rozważmy naprzykład rękawicznictwo. Cóż za imponujące cyfry skór wychodzą rok rocznie nie tylko do Czech, ale i do Francji. Pytam się dla czego? Czy nie mamy materjału surowego tak samo jak Czechy, Francja i inne kraje? — mamy, lecz niedbalstwo nasze i nieporadność każą nam produkt surowy wysyłać, aby potem przerobiony z lichwą nabywać. Czy być może, aby ten wyrób nie dał się przyswoić naszym robotnikom? Przeciwnie — bo piszący miał sposobność przekonania się naocznie, że w najpierwszej w Europie fabryce rękawiczek Jouven'a w Paryżu, Polacy byli i zapewne jeszcze dotąd są najpierwszymi i najlepszymi robotnikami, a kilku z nich, w latach 1866. do wojny francusko-pruskiej, firma Jouven'a wyżej płaciła, aniżeli krajowców. Na wystawie paryskiej wr. 1867. rękawiczki z fabryki powyż wymienionej, które uzyskały najpierwszą w tym dziale nagrodę, były przez naszych rodaków wykonane. Weźmy się tylko szczerze do pracy, pokażmy, że nie żartem ale serjo chcemy przemysł krajowy podnieść, a możemy być pewni, że nie ma działu przemysłowego, na którego czele nie moglibyśmy postawić polskich przewodników już dziś zaszczytnie pracujących na obydwóch ziemi półkulach. Mało się takich znajdzie między nimi, którzyby nie chcieli przybyć na rodzinną ziemię, byleby mieli to przekonanie, że usiłowania ich nie rozbiją się o tarpejskie skały naszej gnuśności, — i że między swoimi nie będą z głodu umierać.

Przystąpmy teraz do produktu, który jedynie z ziem polskich i części Rosji rozchodzi się nie tylko po całej Europie, lecz po całej kuli ziemskiej. Pomimo że ten produkt przemysł ludzki stara się wszelkiemi możebnemi podobiznami zastąpić, wartość jego nigdy nie spada w cenie, ale przeciwnie coraz wyżej się podnosi. Materjałem tym jest *szczecina*. Nie trzeba być bynajmniej wtajemniczonym w tę gałęź przemysłu, aby się przekonać, jak niezbędnym jest ów materjał w codziennych potrzebach życia ludzkiego. Jeżeli tylko zwrócimy uwagę, ile rocznie zużywa się szczotek do sukien, włosów, szczoteczek do zębów, pędzli do malowania wszelkiego rodzaju, do którego to użytku w Niemczech, Francji, Anglji, i t. d. są fabryki urządzone, które tysiące ludzi zatrudniają, pomijając nawet użytek szczeciny w oborach, stajniach, przy rozmaitych machinach, warstatach, fabrykach i gdy się dowiemy, że produktu tego dostarczają jedynie ziemie polskie i część Rossji, z łatwością pojmiemy jego ważność, ale też z bolem serca przyznać się będziemy musieli, z jaką lekkomyślnością zaniedbywaliśmy dotąp wszelkie źródła, które dobrobyt kraju podnieść mogły.

Wskutek ważności tego przedmiotu winniśmy się nad nim dłużej nieco zatrzymać i rozpatrzyć, jakie koleje dotąd przechodzi.

Handel szczeciną, oprócz bardzo małej cząstki przerabianej w kraju, i to służąc do najlichszych wyrobów, pozostaje od dawna w ręku spekulantów żydowskich, którzy zyskując przeciętnie 500 na 100. w źle zrozumianym nawet własnym interesie, okrywają handel szczeciną największą tajemnicą. Pomimo że w ostatnich dwudziestu latach kilkakrotnie podawano wskazówki w dziennikach nikt się nie znalazł, by myśl tę w czyn przyoblec.

Handel szczeciną w Galicji odbywa się w ten sposób, że handełesy wsiowi i małomiasteczkowi chodzą od chaty do chaty, od domu do domu, i za bezcen produkt skupują. Po miasteczkach i miastach prowincjonalnych jedynie rzeźnicy, których specjalnością jest trzoda chlewna, zbierają grzbietową szczecinę, a więc najcelniejszą — i takową sprzedają starozakonnym handlarzom od 2 – 4 złr. za kilogram, szczecinę zaś z boków zbywają również za bezcen. Tak nabyty produkt dostaje się wtenczas do kupców — że tak powiem — powiatowych, którzy go sortują i układają w paczki, lecz z wielką niedokładnością. Kupcy powiatowi wysyłają go znowu do tak zwanych hurtowników krajowych, których główne stacje są Czerniowce, Kołomyja, Stanisławów, Lwów, Przemyśl, Rzeszów, Tarnów Kraków i Oświęcim. Stamtąd rozchodzi się szczecina na dwie drogi tj. do Berna i Wrocławia, gdzie już z większą umiejętnością i podług wymagań handlowych sortowana, gromadzi się w całość na walnym jarmarku w Lipsku.*) Tu przez głównych agentów zakupiona dla Niemiec, Francji, Anglji i Ameryki, po raz trzeci bywa sortowaną, przy czem pół cala długości więcej lub mniej, stanowi wybitną różnicę w cenie. Tak rozgatunkowana, opatrzona fabrycznemi numerami i nazwami, zostaje odtłuszczaną, blichowaną czyli bieloną, i w takim stanie dopiero staje się rzeczywistym artykułem handlowym, który już wprost używany bywa do wyrobów. W takim stanie ceny szczeciny przedstawiają się np: we Francji za kilogram od 10 aż do 120 franków.

Nie małą rolę odgrywa tu także płaca robotnika, która w porównaniu z zagraniczną jest u nas o połowę niższą. Jeżeli bowiem np. w Paryżu robotnik przy sortowaniu zarabia dziennie 1—2 franków, co się równa prawie naszemu guldenowi, to u nas, szczególniej w porze zimowej i ku wiośnie przed rozpoczęciem robót w polu, znajdziemy rąk aż nadto w każdej miejscowości, dla których zarobek dziesięcio do dwunastogodzinnej pracy, jeżeli wyniesie 25 – 30 centów, stanie się prawdziwem dobrodziejstwem.

Niestety u nas jest jeszcze taka niewiadomość pod tym względem, że poznałem całe okolice, szczególniej na Pokuciu, gdzie dla jakiegoś dziwnego i niewyrozumowanego uprzedzenia przy zabijaniu trzody chlewnej, nie parzą takowej, jakto w całym świecie cywilizowanym jest przyjęte, lecz opalają słomą wyrwawszy zaledwie ze środka cokolwiek cennej szczeciny.

Takim sposobem ginie prawie $^7/_8$ produktu z niewiadomości. Nadmienić jeszcze muszę, że nawet puch czyli mech szczecinowy, który przy samej skórze wyrasta, jest również artykułem handlowym bardzo cennym w fabrykach sukna, bo włos na kortach zimowych przebijający tu i owdzie jak srebro, jest właśnie tym puchem z trzody chlewnej. Jeżeli mamy na oku zaszczepienie przemysłu domowego mianowicie w okolicach bezleśnych, jak Podole, to czyż może być przedmiot właściwszy, jak obeznanie ludności z wartością tak cennego artykułu handlowego jak szczecina, który kraje zagraniczne prawie na wagę złota nabywają.

Następnie jeżeli zważymy, że do szczotek i szczoteczek, które każdy handel tak zwany mięszany u nas i wszędzie sprowadza na sprzedaż, nie jest użyta za oprawę kość słoniowa, ale kość zwyczajna byle do tego przysposobiona, to założenie kilku warstatów szczotkarskich ma nietylko wszelką rację bytu, lecz przy wrodzonych zdolnościach do rękodzieł naszego ludu, możemy bezwarunkowo być przekonani, że z czasem przemysł ten zaaklimatyzuje się i podniesie dobrobyt, i jeżeli już nie na Zachód, to przynajmniej na Wschód może się stać wywozowym. Dodatków drzewnych dostarczy przemysł górski.

To co się powiedziało o przeróbce szczeciny, można również powiedzieć o grzebieniarstwie, które choćiaż nigdy nie może się u nas tak rozwinąć, jak szczotkarstwo, zawsze jednak w powinowactwie jedno z drugiem przyczyni się do rozwoju przemysłu domowego.

Jest jeszcze trzeci przedmiot, który z pierwszemi dwoma mógłby się powoli przyswoić i rozwinąć, a tym jest wyrób niektórych gatunków guzików kościanych i rogowych, wykonywany na małych ręcznych tokarniach.

Dla okolic bezleśnych znajdujemy jeszcze jeden produkt, który chociaż dotychczas jest w kolebce, ale za to tak upowszechniony, że staje się koniecznością, i byłoby wielkim grzechem, gdyby w tym kierunku nie dołożono możliwych starań dla wprowadzenia go na tor właściwy. Po wszystkich krańcach naszego kraju, zwłaszcza na równinach spotykamy się z pierwotworami tego przemysłu; pojąć nawet nie można, że dotychczas w tym względzie nic nie zrobiono. Ważnym tym czynnikiem są wszelkie plecionki ze słomy, głównie kapelusznictwo. Czy potrzebujemy dowodzić, ile rocznie do kraju sprowadzają kupcy kapeluszy nie ze słomy ryżowej, lecz z takiej samej, jaką widzimy na naszych łanach, lub też z rozmaitych gatunków traw, jak z miotły itp. byle tylko były umiejętnie do tego wybrane, wybielone, zabarwione i przysposobione.

Zresztą jest to już faktem udowodnionym że w przyswojeniu sobie jakiegokolwiek przemysłu domowego, lud nasz daleko wyżej stoi od innych narodów. W tym wypadku miałem kilkakrotnie sposobność przekonania się naocznie, że pastuszek lub dziewczynka wiejska znalazłszy gdzieś resztki kapelusza słomkowego sprowadzonego z zagranicy, starali się naśladować robotę i w krótkim czasie ich plecionka, nie ustępowała w niczem pierwowzorowi. Widziałem z takich plecionek uszyte kapelusze, które, gdyby wykonawca był obznajomiony z bieleniem słomy

*) Dotychczas jedynie dwa miasta w Galicji systematycznie sortują szczecinę to jest: Jaworów i Brody.

i miał wskazówki, jak prowadzić igłę, aby nici na zewnątrz nie były widoczne, niby nie pozostawiały do życzenia. Zorganizowanie takiej pracowni nie wymaga wielkich nakładów. Urządziwszy pracownię w ten sposób, że podług danych próbek robotnicy dostarczaliby gotowych zwojów plecionek, zakłady przerabiałyby je potem podług wymagań mody. (C. d. n.)

POGADANKI.

XIV.

W ubiegłym tygodniu obchodziliśmy dwie wielkie pamiątki narodowe: rocznicę śmierci Adama Mickiewicza i rocznicę powstania Listopadowego. Gdziekolwiek Polacy mogą głośno wypowiadać co myślą i czują, wszędzie gromadzili się oni w tych dwóch dniach uroczystych, aby złożyć hołd pamięci zmarłego wieszcza, i odświeżyć wspomnienie owej chwili, gdy wśród grzmotu dział i błysku orężów, długo deptany naród zawołał: „Precz z Mikołajem!“

Młodzi, którzy ledwie pamiętają r. 1863 i weterani nad grobem stojący, którzy bagnetem odpierali najeźdźców pod Grochowem, Ostrołęką i na Pradze, podawszy sobie dłonie w tych dniach uroczystych, wytężyli wzrok na Wschód, bo oto zbliża się chwila, którą Adam uważał za stanowczą w historji naszej niewoli, a której od roku 1831 z bijącem sercem oczekują wszyscy patrjoci.

Nad Dunajem nie zagrzmiały jeszcze działa — łuna pożarów jeszcze tam nieba nie oświetliła — armja carska nie starła się jeszcze z wojskami padyszacha, który jeden miał niegdyś odwagę protestować przeciw rozbiorowi Polski, a mimo to serce gwałtowniej nam uderza i krew przyspieszonem bije tętnem — bo kto wie co jutro nam przyniesie...

Rzecz szczególna, że ten naród, o którym od lat tylu powiadają, że umarł, takim strachem napełnia pół świata. Gdy mówi — gniewa się Europa; gdy milczy — po jej ciele strupieszałem przebiega dreszcz trwogi! O, wielką krzywdę musiano mu wyrządzić, kiedy Europa drży, by jak duch Banka nie zjawił się przy tym stole, na którym go rozćwiertowała!

Ale duchy straszą tylko — a ze strachu można się otrząść... Czy ten naród jest li duchem? Duchem, lecz takim, który żyje duchowo, i w pracy duchowej czerpie sił na przyszłość. Takie duchy umieją z martwych powstawać i stać się jak dawniej żyjącemi istotami. Tego zmartwychpowstania stara Europa najbardziej się boi, i dla tego chociaż duch milczy, ona sama coraz głośniej o nim wspomina, niby chcąc tem okazać, że się go nie boi...

Wielka krzywda nie pozostaje nigdy bez pomszczenia!

* * *

Na obchodzie rocznicy powstania Listopadowego w Paryżu, przemawiał znany nam od dawna ks. Krechowiecki. Słowa jego były gorące, chrześcijańskie, prawdziwie polskie. Wśród walki, jaka w ostatnich latach wrzała na ziemi galicyjskiej między ultramontanami, a patrjotami postępowymi, ks. K. został zaliczonym do pierwszych i uważanym za skrajnego ultramontanina. Po pamiętnem jego przemówieniu nad grobem śp. Seweryna Goszczyńskiego, nie jeden obeznany z polityką rzymską, wzruszał jeszcze ramionami nie wierząc w szczerość słów księdza kaznodziei. Dziś atoli po nowem jego wystąpieniu, trudno już wątpić, że ks. Krechowiecki jest kapłanem, który nie przestał być Polakiem; nie wypiera on się ani wiary, ani swojej sukni, bo wie, że tę wiarę i tę suknię można pogodzić z miłością ojczyzny. „Dla ojczyzny niebiańskiej, nie należy wyrzekać się ojczyzny doczesnej!“ Te słowa wypowiedział ks. K. na pogrzebie Goszczyńskiego, i tej dewizie został wiernym.

Gdyby też inni kapłani, którzy tęsknią nie tyle do nadziemskiej, co rzymskiej ojczyzny, poszli w ślady byłego kaznodziei lwowskiego, z jaką radością powitalibyśmy ich w naszym obozie narodowym, który jest tak wielkim, jak wielką jest Polska! Wszystkich on pomieści i ojczyzna wszystkich do serca przytuli, bo jeżeli kiedy to dziś potrzebuje ona mieć wszystkie dzieci przy sobie.

Ale biada tym, którzy lekkomyślnie lub ze złą wiarą nasz obóz rozbijają!

* * *

Czy nie uderzyło to naszych Czytelników, że odkąd „Tydzień“ wychodzi, co raz częściej pojawiają się w jego łamach utwory, kreślone drobną ręką kobiecą. Po wdzięcznych poezjach panny Marji B., która jakby dała hasło do wielkiego pochodu, zabrzmiała po męsku nastrojona lutnia piętnastoletniej panny Izy... a ostatniemi czasy przemówiła znowu prozą pani Zofja R. I nie koniec na tem. W tece mamy już utwory nowych autorek, piszących nie z mniejszym talentem jak poprzednie. Gdzie źródło tego objawu? Nam się zdaje, że należy go szukać w konserwatyzmie natury kobiecej. Gdy miłość ojczyzny gaśnie w piersi mężczyzny, kobieta przechowuje ją w swojem sercu; gdy wiara nie może się pogodzić z zimnym umysłem męża, kobieta wierzy tem goręcej, bo za siebie i za niego; gdy nareszcie piękno ucieka od pozytywnego pisarza — kobieta pielęgnuje je troskliwie, by nie uleciało bezpowrotnie. Dzięki temu konserwatyzmowi, dziś gdy brzydsza połowa naszego rodzaju bierze się coraz gorliwiej do nauk pozytywnych i zajęć realnych, kobieta bojąc się, by piśmiennictwo nadobne nie upadło pod zimnem tchnieniem współczesnej epoki, przelewa swoje uczucia w poezji i prozie, abyśmy w chwilach wypoczynku po ciężkiej pracy, odżyli innem, piękniejszem życiem. Cześć im za to!

* * *

W sali ratuszowej rozpocznie się w bieżącym tygodniu szereg odczytów Dr. Syrskiego, profesora naszego uniwersytetu.

Szanowny prelegent odbył podróż na około ziemi, jako członek austrjackiej ekspedycji naukowej, która na fregacie „Novara“ dwa lata podróżowała po całym globie. Dr. Syrski postanowił opowiedzieć tę podróż. Że temat będzie zajmujący, któż o tem wątpi, a wielka erudycja prelegenta jest rękojmią, że słuchacze dowiedzą się nie jednej rzeczy nowej, i w przystępnej formie opowiedzianej. Jeżeli dodamy, że dochód z tych odczytów, Dr. Syrski przeznaczył na korzyść Towarzystwa imienia Kopernika, to chyba już teraz śmiało możemy żądać, by każdy, kto te słowa przeczyta we Lwowie, starał się być jeżeli nie na wszystkich, to przynajmniej na kilku odczytach.

* * *

Gdy lada dzień spodziewamy się rozpoczęcia kroków wojennych ze strony Moskwy, a teraźniejszy system poboru wojskowego obejmuje prawie całą ludność z wyjątkiem dzieci i starców, więc Księgarnia Polska w obawie, ażeby ród ludzki nie wyginął na kuli ziemskiej, postarała się o przekład znakomitego dzieła Dr. Reveillé-Parise p. t. *Starość*, i zachęca publiczność do zaopatrzenia się w tę książkę, zawierającą przepisy zachowania zdrowia, sił i czerstwości do późnego wieku. Zanim więc młode pokolenie dojrzeje, dojrzałych będą zastępowali ludzie starsi, którzy przestrzegając rad udzielanych przez Dr. Reveillé-Parise będą wyglądali wybornie. Druk tego dzieła właśnie ukończony, i za dni nie wiele publiczność będzie się mogła w nie zaopatrzyć.

Józef Rogosz.

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Le Monténégro contemporain, par G. Frilbey, officier de la Legion d'honneur et Jovan Wlahonitj, capitaine au service de la Serbie, Paris — 1876.

Dzieło powyższe ozdobione 10 drzeworytami i mapą, jest najdokładniejszem i najbardziej pouczającem dziełem o Czarnogórze, a w czasach dzisiejszych zasługuje tem więcej na naszę uwagę. Ponieważ historja tego kraju jest bardzo mało znaną, więc autorowie opis dzisiejszej Czarnogóry poprzedzili obszernym wstępem historycznym. Zaczynają od czasów, w których serbskie narodowości na wezwanie wschodnio — rzymskiego cesarza Herakliusza, opuściwszy siedziby u południowego stoku Karpat zajęły najprzód Macedonję (636—638) a póżniej pobiwszy Awarów zajęły kraj między Bułgarją a Kroacją położony. Dzieje tak bitnego narodu, jak Czarnogórcy, mają wiele nader ciekawych epizodów — spotykaliśmy też Czarnogórców na widowni dziejów, gdzie wielkie mocarstwa europejskie szły ze sobą w zapasy, jak np. w czasach, gdy Karol XII Turcję do wojny przeciw Rossji podżegał, jakoteż w wiekopomnej walce Napoleona I z Austrją i Rossją. W tym wstępie są też opowiedziane dzieje wewnętrznego rozwoju.— Po wstępie zaczyna się właściwe dzieło traktujące o dzisiejszej Czarnogórze. — Tu znajduje sie bogaty i bardzo zręcznie zestawiony materjał,— zaspokoi on zupełnie żądania hydrografa orografa, geografa, geologa, botanika, nie mniej etnografa jakoteż ekonomistę, chcącego zbadać stosunki handlowe tego kraju.

— La grève des femmes, par M. George Vautier 1 vol. Paris — 1876.

Jest to romans naśladowany z jednej z komedyj Aristofanesa, jednak nie brak mu oryginalności w sytuacjach wysoce komicznych. Oto treść tej powieści: Kobiety rozgniewane prawami, przysługującemi mężczyznom, czyli mężom, rozbiły namiot za miastem, gdzie zamieszkały i ztamtąd głoszą warunki pokoju. Po trzech dniach oporu, mężczyźni wielkim głosem zażądali zgody, zmieniwszy do gruntu kodeks wspólnych obowiązków małżeńskich. Próba zostaje ściśle przeprowadzoną, a kobiety w krótkim czasie zrzekają się swoich mozolnie nabytych przywilejów. Jest to z humorem napisana powieść, zaprawiona jednak gdzie niegdzie trochę za lekkim żartem.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— *Dziennik Polski*, pismo polityczne wychodzące już dziewiąty rok we Lwowie, z dniem 1go grudnia rb. przeszło na własność pp. Rewakowicza Henryka, Lama Jana, i redaktora „Tygodnia“ Józefa Rogosza. Nowi właściciele i redaktorowie postanowiwszy zrobić *Dziennik Polski* zupełnie niezawisłym i wolnym od wpływów koteryjnych, dołożą niewątpliwie starań, by pismo to stało zawsze na gruncie narodowym, i wzorową redakcją zaspokajało słuszne wymagania publiczności.

— W Warszawie zacznie wychodzić z rokiem 1877 nowe pismo ilustrowane pt. „Tygodnik powszechny.“

— Z pomiędzy kalendarzy, które w tym roku pojawiły się we Lwowie, wyróżnia się korzystnie „Haliczapin“ wydany razem z „Noworocznikiem Szczutka.“ Po cenie 50 cent. można go otrzymać we wszystkich księgarniach i składach papieru. Zamówienia większe przyjmuje drukarnia „Dziennika Polskiego“ opuszczając stosowny rabat. — Nakładem tejże drukarni wyszedł „Kalendarzyk praktyczny,“ który wygodnie da się pomieścić w każdym pugilaresie, a jest tak ułożony, że zawiera wszystko najpotrzebniejsze. Między kartkami nie brak nawet czystego papieru na notatki. Cena egzemplarza 20 cnt. Zamówienia na ten kalendarzyk przyjmuje także zarząd drukarni „Dziennika Polskiego.“

— Wydawnictwo dzieł Klementyny z Tańskich Hoffmanowej doprowadziło już do tomu IX.

— Nakładca warszawski Lewental wydaje historyczne powieści Henryka Rzewuskiego.

— Księgarz Wolff w Petersburgu, wydał właśnie w przepysznej edycji „Śpiewy historyczne Niemcewicza.“ W tekście jest muzyka do każdej pieśni, nad którą pracowało 14 kompozytorów, i 34 illustracyj. Rysunków dostarczyli Juljusz Kossak i Henryk Pillati.

— Zakład narodowy imienia Ossolińskich zakupił wszystkie rękopisy, pozostałe po śp. Auguście Bielowskim, za cenę 1.500 złr.

— „Gazeta świąteczna“ wydawana we Lwowie przez p. Frylinga, przestała wychodzić.

— „Pojedynek szlachetnych“ komedja Sewera, uwieńczona drugą nagrodą na konkursie warszawskim, nie utrzymała się na scenie tamtejszej. O ile nam wiadomo, na scenie lwowskiej utwór ten nie będzie przedstawiony. Tegoż autora komedyjka „Chcę się bawić“ dedykowana pani Hoffmann i przedstawiona na scenie krakowskiej jest niemal dosłowną przeróbką z nowelli p. W. ogłoszonej niedawno w odcinku „Gazety Lwowskiej,“ p. t. „Kaprys panny Julji.“

— Rada powołana przez hr. Jana Aleksandra Fredrę do rozpoznania pośmiertnych dzieł scenicznych ojca jego Aleksandra, w skład której wchodzą pp. Antoni Małecki, Franciszek Paszkowski, Władysław Łoziński, Stanisław Tarnowski, i Stanisław Koźmian, ukończyła swoje czynności. Rozpatrzyła ona siedmnaście utworów scenicznych oddanych pod jej sąd, a mianowicie: 1) „Wychowanka“, komedja serjo w 5 aktach, wierszem. 2) „Rewolwer“ komedja w 5 aktach wierszem. 3) „Wielki człowiek do małych interesów“, komedja w 5 aktach, prozą. 4) „Co tu kłopotu!“ komedja w 4 aktach, wierszem. 5) „Dyliżans“ komedja w 4 aktach, prozą (grana we Lwowie w 1825 r. Dotąd nie wydana). 6) „Ożenić się nie mogę“ komedja w 3 aktach, prozą. 7) „Ostatnia wola“ komedja w 3 aktach, prozą. 8) „Godzien litości“ komedja w 3 aktach, prozą. 9) „Pan Benet“ komedja w 1 akcie, wierszem. 10) „Obrona Olsztyna“ obraz dramatyczny w jednej odsłonie, wierszem. 11) „Dwie blizny“ komedja w 1 akcie, prozą. 12) „Koncert“ intermezzo w 1 akcie, prozą. 13) „Jestem zabójcą“ komedja w jednym akcie, prozą (treść wzięta z powiastki angielskiej). 14) „Z jakim się wdajesz, takim się stajesz“ przysłowie w 1 akcie, prozą. 15) „Świeczka zgasła“ komedja w 1 akcie, prozą. 16) „Teraz“ komedja w 1 akcie prozą. 17) „Rymond Mnich“ libretto do opery w 3 aktach, wierszem. — Rada postanowiła powyższe utwory podzielić na trzy serje przedstawień zimowych, od zimy 1877 roku w następującym porządku: Rok 1877. 1) „Wielki człowiek do małych interesów“. 2) „Dwie bielizny“. 3) a) Z jakim się wdajesz, takim się stajesz“. b) „Jestem zabójcą“. 4) „Rewolwer“. Rok 1878. 1) „Wychowanka“. 2) „Godzien litości“. 3) a) „Świeczka zgasła“. b) „Teraz“. 4) „Ożenić się nie mogę“. Rok 1879. 1) „Ostatnia wola“. 2) „Co tu kłopotu“. 3) „Koncert“, 4) „Dyliżans“. 5) „Pan Benet“. Rada zastrzegła, aby wszystkie teatra w tym tylko porządku dawały przedstawienia, oraz aby żadne pierwsze przedstawienie powyższych sztuk, nie odbyło się w letnich teatrach. Nie mogą być powyższe sztuki przedstawionemi w prowincjonalnych teatrach i w ogródkowych teatrach warszawskich, przed ich odegraniem w czterech większych teatrach: lwowskim, warszawskim, krakowskim i poznańskim. Dyrekcja teatru poznańskiego nie może tych sztuk przedstawiać w Warszawie, przed ich odegraniem w rządowych teatrach. Postanowienie co do libretta opery „Rymond“ nie mogło być powzięte, dopóki nie będzie do niego dorobiona muzyka, czego pragnąć należy. Rada była zdania, aby wstrzymać się z przedstawieniem “Obrony Olsztyna“, jako zbyt krótkiego fragmentu. Co się tyczy wydawnictwa pośmiertnych dzieł scenicznych Aleksandra Fredry, wiadomość o niem podaną będzie później. Rada zaleciła ogłoszenie drukiem wszystkich powyższych siedmnastu utworów.

— Pan Sygurd Wiśniewski, znany autor wielu cennych artykułów literackich, myśli właśnie o wydaniu ciekawego opowiadania p. t. „Nowicjat Polaka w Ameryce.“ Będzie to wierne zestawienie własnych jego przygód obraz walk i zawodów jakich los kazał mu zakosztować wyrzucając go na brzeg amerykańskiego świata. Wzbogacił nas również pan Sygurd Wiśniewski wiadomością, że rozmiłowana w naszych poetach znakomita poetka amerykańska, pani Walker Cook, posiadająca wybornie nasz język, wydała własnym nakładem dzieła Krasińskiego przetłumaczywszy je wprzód na angielski.

— Po zmarłym niedawno ziomku naszym Aleksandrze Czekanowskim pozostały bardzo ważne i zajmujące rękopisy i okazy, zebrane przez długoletnią pracę tego badacza przyrody; należałoby zatem, aby ktoś zechciał się zająć zebraniem tych owoców mozolnej pracy i pozwolił z niej korzystać społeczności polskiej.

— Sławnemu francuskiemu filozofowi Błażejowi Pascal, który żył od r. 1623—1662, wznoszą Francuzi w rodzinnem jego mieście w Clermont-Ferrand w Owernji, posąg z bronzu.

Wykopaliska.

— W jednym z ostatnich numerów zamieściły „Times“ londyńskie list z Mykene, donoszący o wielkim postępie robót przy wykopaliskach głośnego dra Schliemanna. Obecnie zajęty on odgrzebywaniem skarbca Atreusa; dwie maszyny i trzydziestu ludzi pracuje ustawicznie z wielkim wysiłkiem nad usunięciem licznych a olbrzymich głazów ociosanych, które snać pospadały tam z górnego sklepienia. Wewnętrzne mury tego skarbca nie były widocznie pokryte żelaznemi płytami, jak to miało miejsce w skarbcu Ateńskim i Miniasza w Orchomenos; przytem mniej jak tamten, zawiera kosztowności i zdaje się być znacznie od nich starszym. Pomiędzy znalezionemi tam wyrobami z gliny, na szczególną wzmiankę zasługują niewykończone figury jeźdźców, obejmujących ramionami szyje swoich koni.

— Podług ostatniego telegramu dr. Schlimanna w dzienniku „Times“ z dnia 29. listopada, uczony ten archeolog znalazł w archaicznych grobowcach Argos oprócz dawniej poszczególnionych zabytków, następujące misternej roboty z najczystszego złota przedmioty: hełm, dwa dyademy, wielki grzebień kobiecy, pancerz, trzy maski charakterystyczne, sześć waz, dwa naramienniki, dwa pierścienie, trzy brosze, ogromną ilość guzików, listków złotych itp. wreszcie duże pasy, srebrną wazę, jelonka z ołowiu, oraz mnóstwo bronzowych mieczów, sztyletów, toporów i 25 strzał z krzemiennemi ostrzami.

Starożytności polskie.

— W Paryżu, według dzienników francuskich, znajduje się obecnie kilka ważnych polskich pamiątek historycznych, przywiezionych tam na sprzedaż, a mianowicie berło Jana III, pierścień Stefana Batorego, pieczęć królewska i kałamarz Michała Korybuta. Sprawozdawca „Gezette de France“ wyraża zdanie, że te przedmioty powinne być nabyte dla muzeum Luwru. Wszystkie te przedmioty są z kości słoniowej, rzeźbione bardzo pracowicie i z wielkim artyzmem; na berle przedstawioną jest w płaskorzeźbie bitwa pod Wiedniem, a nadto znajduje się medaljon Jana Sobieskiego i medaljony 16 innych królów polskich. Pierścień Stefana Batorego jest stalowy, z sygnetem w złoto oprawnym, zawierającym portret króla, rzeźbiony na białym kamieniu; z jednej strony herb królewski, po nad którym unoszą się dwaj aniołowie, z drugiej król siedzący na tronie przyjmuje hołd reprezentantów miasta Pękowa, klęczących przed nim. Pierścień ten ogromny, bardzo ciężki, był wielce wewnątrz wyłożony grubym pokładem złota, z którego pozostały tylko ślady. Znajduje on się w pudełku z kości słoniowej, okrągłem, zastosowanem do wymiarów pierścienia. Pudełko ozdobione jest dortretem rzeźbionym króla i napisem: Steph. D. G. Rex Polon. M. D. L. Rzeźba na spodzie pudełka przedstawia unię Litwy z Polską. Pieczęć królewska, także w pudełku okrągłem, ozdobionem rzeźbami, z których górna przedstawia bitwę, dolna królowę polską otoczoną rycerzami. Kałamarz dzieli się na trzy części. Na wierzchnej znajduje się uzbrojony rycerz ze stali emaliowanej złotem, pod nim dokoła napis: Michał Korybut Wiszniowiecki. Druga część stanowiąca piaseczniczkę, ozdobiona jest rzeźbą, która przedstawia bitwę, trzecia zaś, czyli właściwy kałamarz, również rzeźbiona przedstawia orszak królewski i herb Wiśniowieckich; pod kałamarzem wreszcie znajduje się rzeźba, przedstawiająca składanie hołdu królowi polskiemu przez Moskwę.

Wynalazek.

— Na jednem z posiedzeń Towarzystwa brytańskiego postępu nauk, zebranego w Glasgowie, prezydujący w sekcji nauk fizycznych, William Thompson, opowiadał o rozmaitych nowych wynalazkach, jakie widział podróżując po Ameryce. Między innemi zwrócił uwagę na telegraf mówiący, który z jednego końca nitki przenosi dokładnie każden wyraz wymówiony na drugim końcu tejże nitki. Urządzenie tego telegrafu polega na tem, że jedna osoba trzyma w ustach tkaninę (błonę) mocno wyprężoną, na której znajduje się lekki kawałek miękiego żelaza w ten sposób przytwierdzony, że może przekazywać przyrządowi elektro-magnetycznemu odpowiednie drganie fal głosowych powietrza, a te przechodzą z tego przyrządu do takiegoż krążka umieszczonego na drugim końcu nitki.

Statystyka.

— Statystyka sanitarna we Francji dowiodła, że pomieszanie zmysłów w miastach i wsiach jest w stosunku 1 — 8. Artyści stanowią najliczniejszy kontyngens tych nieszczęśliwych, żadna klasa społeczeństwa nie może im w liczbie wyrównać. Drugie miejsce zajmują prawnicy, trzecie duchowni (rzecz zadziwiająca.) Następnie doktorzy i aptekarze, nauczyciele, uczeni i literaci; ci ostatni równoważą prawie z artystami. Ostatni stopień w statystyce pomięszania zmysłów przedstawiają finansiści i urzędnicy. Statystyka obłąkanych w Anglji która ma 70.000 dotkniętych tą chorobą, przedstawia się nieco w odmiennym stosunku, najliczniej są reprezentowani kapitaliści i wyrobnicy, ci ostatni jednak ulegają obłąkaniu głównie skutkiem nadmiaru trunków. W ogóle życie gorączkowe jakie prowadzimy potęguje liczbę ofiar. W Anglji w r. 1861 był 1 obłąkany na 824 osób, dziś jest jeden na 400. Gorzej jeszcze we Francji: w r. 1853 był 1 na 1127, dziś 1 na 400. Danja w ostatnich 12stu latach ma 1 obłąkanego na 507; Austrja 1 na 4143; Włochy 1 na 2962; Stany Zjednoczone i Kelifornia 1 na 1454; Oldemburskie dosięga cyfry najwyższej bo 1 na 301.

Podróże.

— Włoska wyprawa naukowa do środkowej Afryki, przybyła szczęśliwie do Szoa, przezwyciężywszy tysięczne po drodze przeszkody.

Nekrologja.

† Fryderyk Kazimierz Skobel, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego i członek Akademji umiejętności, umarł w Krakowie. Najszerszą popularność przyniosły nieboszczykowi rozprawy „O skażeniu języka polskiego.“

† Jerzy Smyth, znakomity orjentalista, który z assyryjskiego pisma klinowego odczytał podanie o „Stworzeniu świata“ i „Potopie“ umarł w Hillach, niedaleko starożytnego Babilonu. Zmarły liczył dopiero lat 36.

ROZMAITOŚCI.

— Od kilkunastu miesięcy zamieszczają dzienniki berlińskie, w regularnych odstępach czasu, dokładne sprawozdania o stanie pewnego chorego żołnierza, rodem Szlązaka a nazwiskiem Gursa, leczonego dłużsy już czas w poczdamskim szpitalu wojskowym; sprawozdania te mają pozór formalnych biuletynów, jakie zwykliśmy czytywać tylko podczas słabości którego z pierwszorzędnych monarchów, lub jakiej znakomitości niepospolitej, bądź to na polu nauki bądź sztuki. Oczywista, że w tym wypadku nie osoba chorego ale rodzaj jego słabości budzi ogólny interes: nieszczęśliwego tego człowieka opanowała jakaś niemoc nerwowa, mianowicie powtarzająca się często zupełna bezwładność połączona z długim letargiem

Słabość poczęła się u chorego w jesieni 1874, zrazu gwałtownym bolem głowy i stosa pacierzowego, a cierpienia te wzmogły się w końcu tak potężnie, że w Maju 1875 musiano przenieść go do garnizonowego szpitalu w Poczdamie. Atoli już po krótkim tamże pobycie nastąpił w słabości ów zwrot dziwny, który w następstwie uczynił chorego przedmiotem bacznej uwagi, daleko wybiegającej po za mury szpitalu. Od czasu do czasu popadał w jakąś kurczową bezwładność, podczas której nie tylko przez długie tygodnie pozostawał nieruchomy i w jednej pozycji ciała wyciągnięty, ale przytem okazywał symptomata znamionujące trupa. Podczas takiego paroksyzmu musiano przemocą otwierać mu usta, i wkładać między zęby rodzaj elastycznego klina, a dopiero w ten sposób można było wlać mu w gardło pożywczy jaki napój. Gdy po tak dokonanem odżywieniu bezprzytomnego chorego, wyjęto z ust ów klin, szczęki zamykały się natychmiast. Że w tym wypadku udawanie, zdarzające się często po lazaretach, bynajmniej miejsca nie miało, dowodziła oprócz innych objawów i ta okoliczność towarzysząca zwykle tego rodzaju niemocom, że chory był zupełnie nieczuły na sprawiane mu bole; np. z pomocą prądu elektrycznego z tak zwanego aparatu indukcyjnego. W obec użycia tej probierczy, dodać należy bardzo bolesnej, nie wytrzyma żadne udawanie, a aparat ten używany często dla przekonania się o prawdziwości podawanej przez pacjenta słabości, o tyle jest lepszy od tortur dawnemi używanych czasy, że nie oddziaływa wcale ze szkodą na zdrowie badanego. Atoli u „spiącego ułana," jak go powszechnie nazywają, podejrzenie o udawanie nie mogło zrodzić się ani przelotnie, gdyż zaraz w pierwszych dniach jego pobytu w szpitalu, ściślejsze badania wykazały jasno że miano przed sobą człowieka opanowanego ciężką a zagadkową jakąś niemocą. Ponieważ ojciec jego twierdził, że i on za młodu miał napad podobny, a wyleczony zeń został przez przystawienie pijawki za uchem, więc próbowano i na ułanie tego prostego środka, atoli bez skutku. Stan zupełnej jego bezwładności i nieprzytomności, jak gdyby podczas snu głębokiego, trwał dłużej jak miesiąc, a zanim się całkiem ocucił z niego, trwało prawie rok cały. Atoli nie należy wnosić z danego mu przymiotnika „spiący," że przez cały wspomniany wyżej czas chory spał w całem tego słowa znaczeniu; często widziano go z otwartemi, nieruchomie w sufit pokoju wlepionemi oczyma, i wtedy rzęsy mu zadrgały zawsze ilekroć kto zbliżył nagle rękę do jego oka, jak gdyby z zamiarem uderzenia go. Atoli zmysły jego, tak podczas tego czuwania pozornego, jak i długo potem, gdy już bezwładność opuściła go trochę, zdawały się znajdować w jakimś na półsennym stanie. Po długich miesiącach oczekiwania, pierwszemi znakami znamionującemi powrót przytomności u chorego, były ciche, urywane jęki podczas gdy starano się wyprostować ztężałe członki, i kilka niezrozumiałych słów, wyszeptanych w ojczystym języku. Wkrótce potem i usta poczęły się łatwiej otwierać, że tylko potrzebowano już włożyć mu na język pożywienie i zcisnąć wargi i nos, ażeby zmusić tem chorego do połknięcia pokarmu. Nakoniec i ten sposób stał się zbytecznym. W ciągu ostatniego lata, zatem w rok po rozpoczęciu się słabości, funkcje duchowe pacjenta były jeszcze tak przygnębione, że zwykle dopiero na kilkakrotne głośne wezwanie dawał odpowiedź i to zawsze dziwnie pomięszaną, jak człowiek, zbudzony nagle ze snu głębokiego. Obecnie jest on na drodze wyzdrowienia, które atoli postępuje niezmiernie wolnym krokiem. Nie tylko że zapomniał chodzić, co zresztą jest zwykłem zjawiskiem po długo trwającej słabości, ale podobnie małemu dziecku muszą go uczyć mówienia, czytania i pisania, istnie, jak gdyby duch jego cofnął się wstecz o jakie dwadzieścia lat. Zdaje się, że i słuch jego ucierpiał trochę. Słabość ta zagadkowa budzi interes z kilku względów. Dotychczas bezwładność taka była najczęściej spostrzeganą tylko u osób, które cierpiały tak zwane hallucynacje, i u jasnowidzących, którzy prawie dobrowolnie zdawali się pogrążać w ten stan bezwładności, wytrzymując w nim przez czas dłuższy tak dobrze jakąś pozycję ciała, choćby najniewygodniejszą, jak również bez zadrgania najprzykrzejsze bole, umyślnie im sprawiane. Po ocknięciu się opowiadają oni zazwyczaj o mianych podczas snu widzeniach, i chcą wmówić w prostodusznego ciekawca, że dusza opuściła była na ten czas bezwładne i trupowi równające się ciała, by wędrować po nadziemskich światach, a następnie bogata w wiadomości wraca do ciała. Takie opowiadania krążyły między ludźmi nawet w starożytnych wiekach. Wszak Plato, Cicero i Plutarch przytaczają niejednokrotnie opowieści zmartwychpowstałych „nieżywych" o sprawach tamtego świata, a Lucjan opowiada dokładnie o tragicznym końcu pewnego filozofa, którego duch chodził często na takie wycieczki nadziemskie, aż pewnego pięknego poranku, powróciwszy z dalekiej drogi, nie zastał ciała na łożu na zwykłem miejscu, ale dowiedział się z bolem serca (!), że złośliwi przeciwnicy jego nauk skorzystali z nieobecności ducha i spalili ciało na stosie. Lud opowiada sobie, że u takich osób dusza wylatuje z ust pod postacią myszy, motyla lub małego węża, i nawet przestrzega, by ciało pozostawało w tej samej pozycji, gdyż inaczej wracająca dusza mogłaby nie trafić do mieszkania swojego. Śledzenie takiej słabości jak wyżej opisana, wykazuje jasno, jak łatwo mogą zrodzić się w głowach ciemnego ludu znane ogólnie baśnie o przepowiedziach osób niby jasnowidzących i t. p. Nasz ułan spiący, choć dusza jego zdawała się być dłużej jak rok na urlopie, nie umiał nic opowiedzieć o nieznanych nam światach; słabość jego nie posiadała najmniejszej nawet mistycznej jakiejś cechy, a że na razie jest dla sztuki lekarskiej zagadkową, to nie pierwszą ona i nie ostatnią w rzędzie niezbadanych dotąd niemocy ludzkich. Dodać jeszcze należy, że nawet najpobieżniejsza obserwacja tego chorego starczyła zupełnie, by nadto zniweczyć kilka innych przesądów, które lud przywiązuje zwykle do takich napadów nerwowych. Mianowicie ogół twierdzi uporczywie, że tacy horzy obchodzą się przez cały czas swej bezwładności i nieprzytomności, bez pokarmu. Atoli rzecz przecie dowiedziona, że jak długo trwa życie, proces wewnętrzy spocząć nie może, i pod tym względem nasz ułan dostarczył tego uwagi godnego fenomenu, że mimo jednostajnej pozycji ciała i mimo najsilniejszych środków odżywczych, któremi go karmiono, po krótkim czasie stracił znacznie na wadze ciała. Inne ważne spostrzeżenie, które zrobiono na tym chorym, zbija również skutecznie przesąd, zagnieżdżony nawet pomiędzy ludźmi wykształconymi. Ile to razy słyszeć można było opowiadania o wypadkach, gdy nibyto pozornie umarły dostał się na stół sekcyjny, lub pogrzebany został, i w grobie się przebudziwszy skonał wśród mąk najstraszniejszych. Być może, że dawniej gdy sztuka lekarska nie miała na swoje usługi tylu znakomitych dzisiejszych wynalazków, zdarzył się gdzie taki wypadek pożałowania godny. Atoli dziś trudno już o lekarza, któryby człowieka uspionego letargiem, lub opanowanego podobną, wyżej opisanej, niemocą, wziął za umarłego... Od czegoż puls, który koniecznie poznać się daje, dalej szmer oddechu i bicie serca, choć bardzo niewyraźne, mimo to jednak dojść się dające, a zresztą ciepłota ciała łatwo zbadalna. A gdyby mimo to wszystko który lekarz był jeszcze w wątpliwości, to ma pod ręką wspomniany wyżej aparat indukcyjny. Z jego pomocą niepodobna mylić się ani chwili. Czułość muskułów i nerwów ustaje szybko po rzeczywistej śmierci, i w trzy godziny po zgonie nie ma z nich ani śladu. Gdyby zatem w jakim wątpliwym razie prąd elektryczny już po upływie trzech godzin wywoływał jakie ściąganie się muszkułów badanego, to wówczas przypuszczać można, że w ciele jego znajduje się jeszcze iskra życia.

— W całej północnej Europie, szczególnie w Niemczech słychać częste skargi na widoczny z rokiem każdym zwiększający się ubytek ptaków śpiewających, przed wszystkiem zaś tych, które się żywią owadami, a skutkiem zimy i z nią uspionego życia owadów, zmuszone są przenosić się na dłuższy czas do cieplejszych krajów. Ubytek ten ornitologowie starają się tłumaczyć na rozmaite sposoby: np. że dzieje się to skutkiem niszczenia lasów, drzew pojedynczo po polach rosnących, żywych płotów, że dalej wiele winna w tej mierze pusta młodzież wiejska, plądrująca nielitościwie gniazda ptasząt, w końcu tz. myśliwi niedzielni, którzy strzelają każdą ptaszynę, byle módz cokolwiek skrzydlatego przytroczyć do torby. Zarzuty powyższe są słuszne, atoli znacznie maleją w obec systematycznego tępienia tych ptasząt gdzieindziej, co w następstwie odbija się na rolnictwie północnych stron, nie mogącem dość zaradzić sobie przeciw rok rocznie zwiększającej się ilości szkodliwych owadów, niszczonych pierwej skutecznie przez owe drobne ptaszęta. Najokrutniejszego bowiem prześladowania doznają ci mili śpiewacy a zarazem tak pożyteczni gospodarce pomocnicy, na swej corocznej wędrówce na Południe, i podczas pobytu swojego w ciepłych strefach. Wszędzie, gdzie tylko przebywają plemiona romańskie, toczy się w okresie naszej zimy zażarta wojna, wypowiedziana ze strony człowieka temu drobnemu światu naszych ptasząt. Zaraz w południowej Szwajcarji nie ujrzeć prawie nigdzie ptaszynę śpiewaka, gdyż w braku innego ptactwa miłośnicy polowania zabijają każdą spotkaną, choćby najdrobniejszą, i bądź zpożywają sami bądź niosą na targ miastowy. Jeszcze gorzej dzieje się tym biednym ptaszkom we Włoszech i południowej Francji, gdzie wszystko, cokolwiek tylko unosi się w powietrzu, pada od zabójczego ołowiu, i nawet takie niewinne, u nas np. tak szanowane i niemal czczone ptaszęta jak jaskółki, słowiki, giną tam tysiącami, i sprzedawane bywają po miastach jako „dziczyzna." W jesieni i na wiosnę widzieć można po targowicach miast i miasteczek południowej Francji, jak ubite jaskółki, tuzinami na pręciki, wystawiane bywają na przedarż pod nazwą „un brochet d' hirondelles" i przez mieszkańców zakupywane pilnie, jakkolwiek na biednej jaskółce zaledwie łót i to nie szczególnego mięsa! Ołowiem i siecią, samotrzaskami i innemi połapkami polują na te biedne stworzenia; atoli najokrutniejszym i najliczniej tępiącym sposobem są tamtejsze tak zwane polowania nocne. Jak wiadomo, wielka część tych małych ptasząt nie ciągnie na Południe nieprzerwanym szlakiem, ale niby etapami zatrzymują się w pewnych miejscach od czasu do czasu na tydzień i dłużej, aż w ostatniej takiej stacji mróz i śnieg wypędza je i przynagla do dalszej wędrówki. Skoro więc na takiej stacji zjawią się liczne ich gromady, mieszkańcy, korzystając z łatwej sposobności, a wiedząc, że ta potrwa tylko czas krótki, poczynają przeróżnego rodzaju łowy, i gubią dniem i nocą ptasząt tysiące. Najbardziej zaś okrutnemi są łowy nocne. Na ten cel zbiera się zwykle kilku wieśniaków, idą od zarośli do zarośli, i podczas gdy jeden trzyma na kilkometrowej tyce olbrzymią sieć, o promieniu co najmniej dwu metrów, inni uderzają kijami po płotach i krzakach wypłaszając z noclegowisk uspione ptaszęta. Te oczywiście zrywają się, a że noc ciemna, więc lecą ku świetlącemu punktowi, który spostrzegają o kilka metrów w górze. Olśnione czerwonem jego światłem, wychodzącem z żarzącego węgla, umieszczonego w drucianej siatce w pośrodku wspomnianej wyżej dużej sieci, plączą się w sznurkach i dostają do bezpowrotnej, bo śmiercią kończącej się niewoli. W ten sposób kilku chwyta przez jedną noc ogromną ilość ptasząt, a nazajutrz złowioną tak podstępnie „dziczyznę" niosą ubitą na targ do miasta. Gdy u nas wiosna i lato, dziwimy się, że coraz to mniej śpiewaków polnych i leśnych, — otóż to ta a nie inna tego ubytku największa przyczyna.

Od Redakcji.

Ilustracje, które jako bezpłatny dodatek do „Tygodnia" zostały przyrzeczone, przyszły już z zagranicy i rozsyłkę właśnie rozpoczynamy. Jedna z nich przedstawia: „Jezioro Garda", druga: „Po mszy w Rzymie", trzecia: „Wykopaliska w Pompei". Ponieważ nie wszyscy nasi prenumeratorowie dołączyli 20 centów na wałek i list oddawczy, przeto przypominamy tym którzy tego nie uczynili, aby jak najspieszniej przysłali owe 20 cent. w przeciwnym bowiem razie musielibyśmy ilustracje dołączać do numeru, skutkiem czego uległyby pomięciu i zniszczeniu; 20 centów najlepiej dołączać do prenumeraty na nowy kwartał.

Treść Nr. 15.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).